

ipix

ISSN 1898-1925

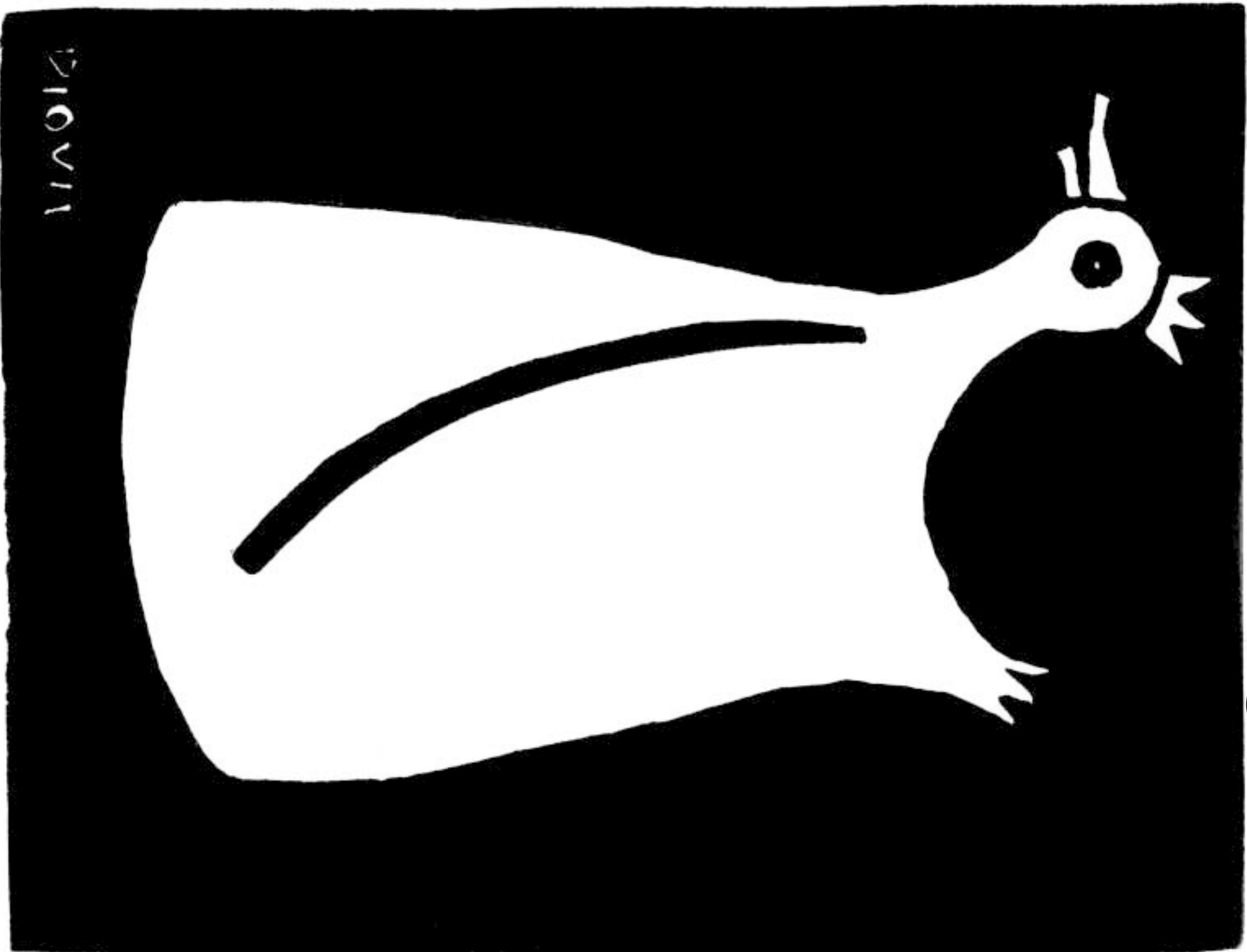
mrówkojada*

Kraków, październik 2007, Numer 13 (Rok 2)

PRZED CZYTANIEM, ROZCIĄĆ. PRZED ROZCIĘCIEM, USIAŚĆ!

Klub LOKATOR Magazyn

* Alfred Jarry, Jan Gondowicz, Roger Shattuck, Jacek Dubois, Kamila Sosnowska, Jana Cerna, Zbyszek Masternak...



grafika: PIO, z cyklu PACYNKI 2007. Bajka o dwugłowej kaczce, która została królem ale jej łeb urwali, linoryt 5x7

 Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcieniem, usiąść!

Galeria Klubu LOKATOR

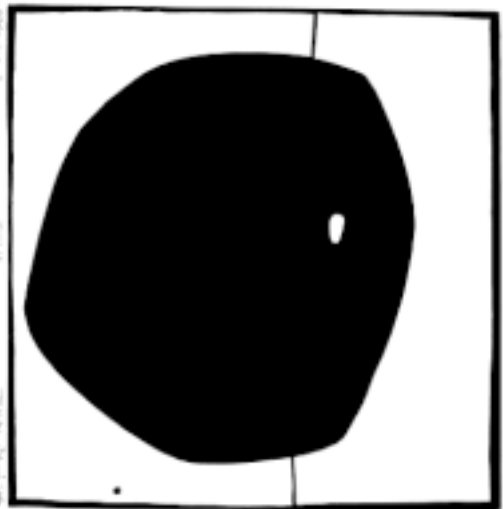
Piotr Kaliński
DYNIA

30

tribune
to
Stanisław
Wojman

ZAPROSZENIE
5.10.2007, g. 20.00

Galeria Klubu LOKATOR
ul. Krakowska 27
www.lokator.pointblue.com.pl

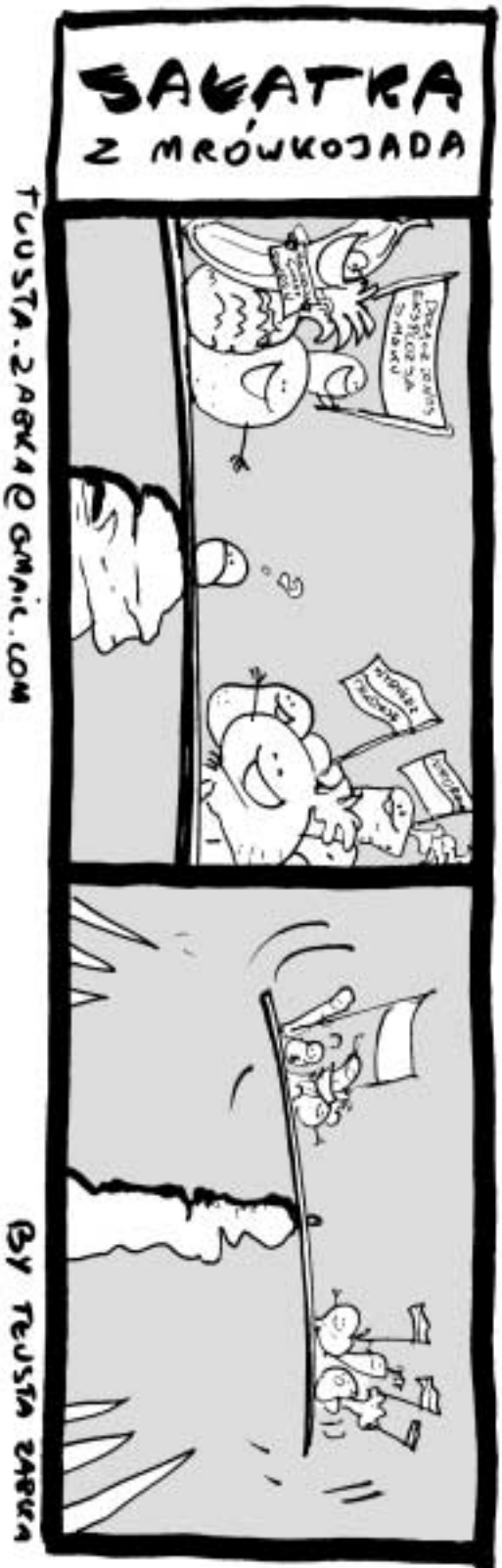


GRAFIKA GRAFIKÓW przystanek PRESÓV

Przez najbliższy miesiąc prace Krakowskich i Rzeszowskich Grafików prezentowane będą w Zwoleniu (Słowacja). Wystawa „Grafika Grafików III”, na którą składają się prace autorów: Bieńczycki Paweł, Jodko Kamil, Chrystow Sławek, Kaliński Piotr, Cywicki Łukasz, Dyga Anna, Obidowicz Katarzyna, Frydryk Grzegorz, Rutka Andrzej, Garbaczewski Jacek, Stachurska Małgorzata, Łysek Katarzyna, Ewelina Małysa, zorganizowana została przez Kluby STARA DRUKARNIA z Rzeszowa i LOKATOR z Krakowa.

Otwarcie wystawy odbędzie się 18.10.2007 (czwartek), g. 20.00 w kluboksięgarni **BALADA na ulicy 17 listopada w PREŠOVIE**.

Wystawa miała swoją pierwszą prezentację w Rzeszowie na urodzinach klubu Stara Drukarnia. Do końca roku odwiedzi jeszcze Warszawę, Kraków i Nowy Sącz. Red.



Agnieszka Taborska OKRUSZKI

Czystość

Wsiadamy do stojącej na postoju taksówki, ale musimy czekać, aż taksówkarz skończy pucować i tak już lśniącą klamkę. W środku aż drapie w gardle od zapachu dezodorantu i środków czyszczących. Gdy mówię taksówkarzowi, że ma najczystszą taksówkę w mieście, odpowiada, że dawniej mył ją bez przerwy. Nie mógł się opamiętać: co kilka dni brała go chęć, rzucał wszystko i gnał do myjni. Po jakimś czasie jednak spostrzegł, że po każdej wizycie w myjni pada deszcz. Zauważył zależność, która sprawdziła się tyle razy, że zdecydował poskramiać przemożną chęć czyszczenia auta. Wynajdował sobie najróżniejsze zajęcia, byle tylko odwrócić uwagę i przecześć felemy okres. Podjął walkę z nałogiem niczym alkoholik czy przerażony wizją raka palacz. Jego teoria się sprawdzała: kilka godzin po każdym ataku wybuchała burza bądź z czystego nieba tryskał deszcz. Dziś nie ma już żadnych wątpliwości, że to napięcie wywołane w jego organizmie zwiastującą ulewę zmianą ciśnienia przejawiało się w potrzebie umycia taksówki. Cieszy się, że zwalczył nałóg, bo, jak twierdzi, ludzie chętniej wsiadają do brudnych samochodów. Gdy pół godziny po powrocie do domu wyjrzałam przez okno, wciąż czyścił tylną szybę. Było grubo po północy, ale nawet w świetle latarni taksówka lśniła niczym kuchenny blat z reklamy Pronto.

ipix W tym miesiącu Mrówkojada *
dokarmia firma www.ipix.com
Serdecznie dziękujemy.

ipix

WYDAWCA:



KLUB LOKATOR
Kraków, ul. Krakowska 27
POLSKA

REDAKCJA:

Iga Noszczyk, PIOTR Kaliński,
Jacek Olczyk, Stanisław Kot,
Paweł Ścibisz

WSPÓŁPRACA I TŁUMACZENIA:

Agnieszka Taborska, Adam Uryniak,
Zuza Skoczek, Jacek Błach,
Igor Kędziński

KOREKTA:

Zuzanna Skoczek

DZIAŁ FOTO:

PIOTR Kaliński, Kamila Sosnowska,
Joanna Goralch

ILUSTRACJE:

PIO, Tłusta Żabka

KOMISJA REWIZYJNA:

Magda Podziewska

PROMOCJA:

klub LOKATOR
Kraków, ul. Krakowska 27
www.lokator.pointblue.com.pl
lokator@pointblue.com.pl

KONTAKT Z REDAKCJĄ:

mrowkojad@pointblue.com.pl

MIEJSCA GDZIE GRASUJE MRÓWKOJAD:

KRAKÓW: Klub Lokator, ul. Krakowska 27, Nowy Teatr; ul. Gazowa 21, Korporacja Ha!art, pl. Szczepański 3A, Massolit Books, ul. Felicjanek, NOWY SĄCZ: Kawiarnia Prowincjonalna, ul. Wąsowiczów, STARY SĄCZ: Galeria pod Piątką, Stary Rynek 5, RZESZÓW: Klub Drukarnia, ul. Bożnicza 6, WARSZAWA: Księgarnia Tarabuk, ul. Browarna 6; PRAGA: Instytut Polski, Male nám. I OPAVA: Institut tvůrdí fotografie, Bezručovo nám. 13, NORYMBERGA: Dom Krakowski, Hintere Insel Schütt 34, ZAGRZEB: KK Booksa, Marticeva 14d, ulice Lubliany :)

STAŁA WSPÓŁPRACA:

kinoskop.pl



Igrzyska w Gdyni

Kamila Sosnowska



Foto: Kamila Sosnowska, Gdynia 2007.



Na festiwalach filmowych wyraźnie widać klasowy podział społeczeństwa. W Gdyni nie było inaczej: VIPy, branża, prasa oglądają filmy w Teatrze Muzycznym, reszta świata w multipleksie. Jak się okazało, te dwa światy wzajemnie się przenikały, a granice można było przekroczyć, jeśli nie na ładne oczy, to na krzywy ryj. Przy odrobinie sprytu, znajomości i z małą pomocą sprzętu fotograficznego można prześlizgnąć się na tę drugą, jasną od fleszy stronę.

Niezależni

Od początku był dylemat: na co iść? Oglądać „ważne” filmy z Konkursu Głównego, czy śledzić Konkurs Niezależny, wypatrując potencjalnych perełek? Próbowałam chodzić na oba przeglądy, w rezultacie czego umknęły mi niektóre wyróżnione dzieła offowe („Łódka”, „W stepie szerokim”). Inne pozostawiały niesmak. Zakwalifikowanie do konkursu takich dziełek, jak „Silent Kill 2: Manhunt” P. Drażka i S. Wikalińskiego czy „Samie żniwo” B. Walaszka tłumaczyć można tylko dbałością o różnorodność gatunkową prezentowanych filmów. O kuriozach w rodzaju słabego teatryku po kaszubsku – „Testamentu” A. Sipajło czy „Co się stało?” Christopa Galeztki nie wspominając. Były też filmy ciekawe, a zignorowane przez jury, jak choćby „Miejsce” – drugi film zdolnego Michała Bilińskiego, nagradzanego za debiut „Teraz Polska”. „Miejsce” to surowa w formie i konsekwentnie opowiedziana historia autentycznych zdarzeń – gwałtu i morderstwa na głębokiej prowincji. Przyjemny w odbiorze „Gamoni” o perypetiach miłosnych polonisty w reżyserii K. Ryczka zwracał uwagę tytułową rolą Adriana Bałtowskiego i niezłą muzyką. Nagradzana na festiwalach kina niezależnego „Zazdrość” F. Rudnickiego zaprezentowała zdecydowanie wysoki poziom scenariusza i gry aktorskiej. Słusznie wyróżniony film DDNu, „Manna” H. Gotkowskiego pokazał z kolei, że kino niezależne nie musi sprowadzać się do opowiadania płytkich historyjek o picu pod blokiem czy ganianiu z mieczami i giewerami po lesie. Tak, jak choćby „Nie panikuj” Bodo Koxa, nagrodzony Nagrodą Specjalną Jury. Film dobrze zrealizowany i momentami nawet zabawny (szczególnie, gdy na ekranie pojawia się sam reżyser), ale nieposiadający, jak chcą niektórzy, „drugiego dna”. Ot, kolejna historia o kumplach, picu, jaranii i problemach z kobietami. Ileż można?

Główni

Konkurs Główny wzbudzał nieporównywalnie więcej emocji. Zaczęło się słabo i nijak, bo „Na bosu”. Piotr Matwiejczyk uraczył widzów kolejnym filmem o tym samym (problemy dojrzewania, rodzina w rozpędzie), z tymi samymi aktorami (Dorociński, Baka), w dodatku słabszym niż wcześniejszy „Wstyd”. Na szczęście potem było już tylko lepiej. Zaczarowały i urzekły „Sztuczki” Andrzeja Jakimowskiego, film perfekcyjnie kreujący specyficzną, magiczną atmosferę podobną do tej w „Zmruż oczy”, opowiadający o zabawach z Losem i zmieniających się priorytetach. Film słusznie nagro-

dzony Grand Prix i nagrodą za zdjęcia. Przebojem okazał się „Rezerwat” Łukasza Palkowskiego, kolorowa, słodko-gorzka pocztówka filmowa z warszawskiej Pragi z wątkiem fotograficznym w tle. Jury nagrodziło debiutanta, montaż i brawurową rolę Soni Bohosiewicz, dziennikarce docenili film przyznając mu swoje laury *ex aequo* z „Pora umierać” Doroty Kędzierzawskiej. I to ten ostatni film był odkryciem, sensacją i perłą Festiwalu. Przynajmniej dla widzów, którzy wyklaskali mu Złotego Klakiera (7 min 40 sek.). Pierwsza od lat główna rola wiekowej legendy polskiego kina, Danuty Szaflarskiej, urzekła połączeniem rozbrajającego ciepła staruszki przywiązanej do swojej wiekowej willi z zaskakującymi iskrami ciętego humoru i dystansu – do siebie, ludzi, śmierci. Kędzierzawska potwierdziła swoją pozycję autorki kina intymnego i osobnego. Zachwyliły wysmakowane, białoczarne zdjęcia Arthura Reinharta i oscarowa rola... Filadelfii, suczki. Nagroda za najlepszą rolę kobiecą powędrowała do Szaflarskiej – ujmującej aktorki, gwiazdy ponadczasowej i bezdyskusyjnej.

Idzie dobre

Dalo się na festiwalu słyszeć zaskoczone głosy prasy: a więc robi się u nas dobre filmy! Skąd ta nagła zmiana jakości? Czyżby reforma finansowania i branżowe rozszady pozwoliły polskiemu kinu wreszcie na oddech? A może to sami twórcy obudzili się, przeciągnęli i... zrobili dobre, interesujące filmy? Bo oprócz nagrodzonych faworytów warto wspomnieć też o „Wszystko będzie dobrze” nagrodzonego za reżyserię Tomasza Wiszniewskiego czy „Jutro idziemy do kina” Michała Kwiecińskiego według scenariusza Jerzego Stefana Stawińskiego. Choć akcja osadzona jest w różnych realiach historycznych, a filmy operują odmiennymi środkami, oba mówią o sile nadziei, wiary i złudzeniach. „Nadzieja” Stanisława Muchy na podstawie scenariusza Krzysztofa Piesiewicza zaintrygowała mieszanką alegorycznej historii, minimalistycznym aktorstwem debiutującego Rafała Fudaleja, nasyconymi barwami zdjęć Krzysztofa Ptaka.

Katyni

Poza konkursem był film, który wzbudzał od początku najwięcej emocji i oczekiwań – „Katyni” Andrzeja Wajdy. Napisano o nim wiele jeszcze zanim został ukończony i pokazany szerszej publiczności. Trudno podejść do lektury tego filmu bez ciężaru jego genezy, kontrowersji i osoby samego twórcy. Istotne jest to, że „Katyni” chwycił mnie za gardło już w pierwszej sekwencji i trzymał tak aż do ostatniej, ciągnącej się w nieskończoność brutalnej egzekucji polskich oficerów. Wszyscy znamy historię i wiemy, jak zakończyć się może film o radzieckiej zbrodni, a jednak nie ma tu miejsca na dystans, cynizm i kalkulację. Emocje biorą górę. Postaci reprezentują wiele typów postaw, ale to tylko poszerza horyzont filmu, autentyzmowi nadaje głębi, a dramatyzmowi kilka punktów odniesienia. Kobiety czekające na powrót mężów, synów i braci walczą

przede wszystkim o prawo do nadziei, a potem – o prawdę. Powojenna, komunistyczna rzeczywistość jest nie mniej straszna od tej wojennej, z tym tylko, że teraz wszystko dzieje się w kulisach, pod karcącym okiem Partii, a nie na froncie. Okupacja z jawnej zmieniła się w zakamuflowaną. Nie wszyscy odnajdą się w tym nowym świecie, tak jak Agnieszka (M. Cielecka), współczesne wcielenie Antygony, której wyborowi będzie wierna do końca.

Ważne, żeby powaga tematu i ciężar patriotyczny „Katynia” nie przyćmił jego bezdyskusyjnych walorów filmowych. Wajda zmierzył się z duchami swoimi i, nie przymierzając, większości Polaków, nie schodząc poniżej świetnej formy. Misterna reżyseria, achronologiczna, epizodyczna narracja stwarzają ryzyko ślizgania się po powierzchni, ale nic takiego tu się nie dzieje. „Serialowa” obsada udowadnia, że grać potrafi nie tylko rozterki lekarskie, ale i wielkie emocje. Może oprócz pierwszego amanta polskiej telewizji, Pawła Małaczyńskiego, który niestety nie przekonał mnie do swojego talentu. Do tego piękne zdjęcia Pawła Edelmana i, *last but not least*, zaskakująca, bardzo mroczna i wstrząsająca muzyka Krzysztofa Pendereckiego. Używając dosadnej metafory Bartosza Żurawieckiego, zdecydowanie nam „stanął”.

Smutno czyta się recenzje w branżowych magazynach sprowadzające „Katyni” do kolejnego programowego filmu patriotycznego, „który musiał powstać” i na który tłumy gimnazjalistów będą karnie chodzić do kin. Bo Wajda nie zrobił, wbrew pozorom, żadnego „fabularyzowanego filmu oświatowego”, tylko dzieło osobiste i narodowe jednocześnie. Bez zbędnej czolobitności trzeba zmierzyć się z tym filmem osobiście, we własnym sumieniu. Odkryć, czy gómolotne hasła, których na co dzień się wstydzimy, jak „honor”, „ojczyzna”, „prawda” mają jeszcze jakiegokolwiek przełożenie na rzeczywistość. I czy w ogóle coś dla nas znaczą. Cisza, jaka zaległa na sali po projekcji „Katynia” mówi wiele na ten temat.

Glamour

Filmy filmami, ale Gdyniński festiwal to też cały *entourage*: gwiazdy, gwiazdeczki, branża i paparazzi... małe lokalne igrzyska dla spragnionego sensacją tłumu. Na zewnątrz dumna Brodzik rozdaje autografy, Misiek Koterski przechodzi sam siebie, Pietrucha opęda się od fotoreporterów. Wewnątrz, po drugiej stronie bramek, można zobaczyć jak w Piekielku Linda chowa się w cieniu Świetlickiego, Stenka siedzi na schodach, Torbicka próbuje zapanować nad chaosem podczas gali. Na bankiecie gawieź robi sobie pamiątkowe zdjęcia z Maćkiem Zakościelnym (albo Danutą Szaflarską, co kto lubi). Rozmowy w kulisach, plotki, pieniądze, żale topione w alkoholu. Nic nowego, nasze małe targowisko próżności po godzinach.

kinoskop.pl



Foto: Joanna Goriach, Klub LOKATOR, wrzesień 2007

Bracia z Lasu Wegas

Z Łukaszem i Waldemarem Libera* o wyższości muzyki nad obrazem rozmawiają Zuza Skoczek i Piotr Kaliński

PIO: Jesteśmy świeżo po koncercie „Las Wegas” oraz w trakcie finisażu wystawy „Głowy” Waldka Libery. Porozmawiajmy zatem na początek o muzyce. Czy wy w ogóle gdzieś grywacie? Gdzie można usłyszeć was na koncertach?

Luca: Kraków, Nowy Sącz...

PIO: A gdzie dokładnie?

Luca: Graliśmy w Nowym Sączu w dwóch albo trzech lokalach, są tam takie przyjemne knajpki.

PIO: „Prowincjonalna”?

Luca: Nie, graliśmy w „Rock and Film Gallery”, potem to się spaliło i powstała tam inna knajpa, w której też graliśmy, a ostatnio graliśmy w „Zdartej Płycie”, taki mały lokalik, oj, bardzo przyjemne miejsce. I generalnie grywamy bardzo mało...

PIO: Las Wegas tworzą trzy osoby, tak?

Luca: Trzy...czasami cztery...mogłyby być cztery.

ZU: Trzy i pół.

Luca: Jest i Waldemar, jest z nami, nawet gdy go nie ma. Malowanie go pochłania. Może być więc trzy i pół. Póki co.

ZU: A czy ty wpływasz na jego obrazy tak samo, jak on na waszą muzykę, czy to są inne zależności?

Waldk: Jest jakieś powietrze, to, co wokół się dzieje, muzyka, literatura i jakoś to bardzo wpływa na nas. Spotykamy się na tej płaszczyźnie nieświadomie. Zarówno Luca, jak i ja, jesteśmy bardzo emocjonalni. Emocje i intuicja, odbywa się to na tej zasadzie, że gdy Luca coś usłyszy, to ja, mimo że tego nie znam, słyszę to samo.

Luca: Jest, jest coś takiego, zrozumienie, zbędne słowa. Metafizyka. Na przykład Waldemar pokaże mi coś,

obraz, zdjęcie. Pokazuje mi to z całą świadomością, że prawdopodobnie mnie również się spodoba. Może to te dwadzieścia pięć już prawie lat życia blisko siebie?

PIO: A ma to wpływ na to, co potem śpiewasz i co w ogóle robisz, czy to jest już zupełnie inna sprawa?

Luca: Jeśli słuchamy z Waldemarem muzyki, gdy jestem u niego, jest dobrze. On gra. Wiem, że on to robi dla mnie, pokazuje mi, co czuje, i ja nie chcę od niego wychodzić. Zostaję...i dobrze mi tam. To właśnie jego wpływ na moją muzykę.

ZU: A wracając do wpływów. Słyszeliśmy dziś i Nirvanę, fenomenalna aranżacja „My Girl”!..

PIO: ...i całą plejadę kawalków. Ale w ogóle masz bardzo fajny głos. Śpiewasz też w Krafcach – to ty jesteś głównym wokalem Krafców?

Luca: Tak, ale nie rozmawiamy o Krafcach. Jakie było pytanie? [śmiej] Te piosenki, które dziś graliśmy, to są piosenki, które lubimy i które gramy od zawsze. A oprócz tego jest wiele innych rzeczy, które co jakiś czas wyciągamy z szuflady... Ważne jest dla nas to, że stare emocje towarzyszące powstaniu piosenek zostały do dziś. Tak, że wszystkie, prawie wszystkie piosenki, które dziś graliśmy, to są nasze ukochane piosenki. Gdybyśmy mogli zagrać to wszystko, co lubimy, to dopiero byłby koncert.

ZU: Czemu w takim razie gracie tylko covery i tak mało swoich rzeczy?

Luca: Właśnie, to jest dobre pytanie, wiele osób mnie o to pyta. Może dlatego, że spotykamy się tak rzadko i właściwie gramy to, co graliśmy pięć lat temu – nic się nie zmieniło. Może jesteśmy trochę dojrzałsi, ale ja gram na gitarze tak samo jak pięć lat temu i po prostu nie wiem, dlaczego do tej pory nie znaleźliśmy czasu, żeby się na przykład raz na tydzień – dwa spotkać,

przecież wtedy by się zrobiło dużo rzeczy. Dużo rzeczy się plątało, każdy z nas tworzył coś na boku, każdemu w głowie coś szeleści, ale jakoś nie było czasu, żeby wszystko razem zebrać, żeby coś naszego się zrodziło.

PIO: Ale co, nie myślicie o tym poważnie? Las Wegas nie jest najistotniejszą rzeczą? Macie inne swoje sprawy?

Luca: Tak, każdy ma swoje życie. Muzyka jest ważną kwestią dla każdego z nas, ale mamy bardzo mało wspólnego czasu. Ja podejrzewam, że zarówno Nawrii, jak i Jacek, dużo słuchają i myślą o muzyce, ale wspólnie mało o tym myślimy.

PIO: A kiedy w ogóle powstał Las Wegas?

Luca: Zespół powstał jakieś trzy lata temu, pod koniec 2003 roku [listopad; data ustalona po konsultacjach z Waldkiem]. Spotykaliśmy się wtedy przy jakimś winku czy przy piwku u Jacka w domu, tam była tylko gitara i bęben, pomyśleliśmy, że można coś zagrać, ale graliśmy tylko dla siebie. Był Waldemar i jeszcze kilku znajomych. Graliśmy akustycznie. Nie był ważny hałas, nie był ważny prąd, ważna była muzyka. Emocje. Życie. Zrozumienie. Kupa radości. Nikt nie mówił kto ma śpiewać, na czym grać. Każdy robił co chciał, dużo spontaniczności – to właśnie była nasza muzyka. Niezłe to było, chcieliśmy to pokazać ludziom. I pomyśleliśmy, że zagramy w Krakowie koncertik. I od tego czasu zagramy niewiele, bo nie wiem czy dziesięć koncertów w sumie, w ciągu czterech prawie lat.

PIO: Czyli co, nie ma przyszłości przed Las Wegas?

Luca: Sam nie wiem. Czasem bardzo wierzę. Czasem jednak wątpię. Ja myślę, że przyszłość by była, gdybyśmy zauważyli, że warto się poświęcić tej przyszłości.



Zu: Czego brakuje?

Luca: Teraz widać, że warto. [śmiej] Były dzisiaj takie momenty, kiedy pomyślałem, że naprawdę nas słuchają. To był dobry koncert.

Pio: Zostawmy na chwilę muzykę i przejdźmy do plastyki i obrazów Waldemara. Miałeś wystawę, bodajże rok temu, w galerii na ulicy Marka i z tego co wiem, Las Vegas również przygrywał na wernisażu. Jak to wtedy wyglądało? Co się zmieniło przez ten rok, w formie plastycznej?

Waldek: To jest na tej zasadzie, że u mnie treść dominuje nad formą, nie zawsze to, co myślałem, było adekwatne z formą. Po drugie, jest to przede wszystkim jakiś tam mój rozwój, długotrwały proces powstawania. W przypadku „Głów” jest tak, że doszedłem do określonej formy, na tej zasadzie, że miałem rok przerwy od malarstwa, po czym znajomy skłonił mnie do konkretnego działania. Zacząłem iść w tę stronę i zauważyłem, że to zaczyna mieć swój klimat, że każdy obraz zaciera się z drugim i tak naprawdę tracą one zupełnie swoją osobowość i przekształcają się w jakąś ideę. O podobnej treści są prace Fautriera, które zobaczyłem po kilku latach i stwierdziłem, że to jest to. Nie znałem go wcześniej. Natomiast to, co powiedziałeś, że głowy maluję od paru lat – to nie tak. Istniała pewna myśl, natomiast to wszystko przyszło dopiero teraz. Jednakże owa myśl w stosunku do formy, zawiera bardzo silny dualizm i to był taki mój zryw, dotyka bardzo metafizycznych spraw, a zwraca się również ku szeroko pojętemu realizmowi. To było dla mnie bardzo uporczywe.

Pio: Przez wakacje popelniłeś parę tzw. szkicowników, parę zeszytów, w których poczyniłeś pewne zapiski literackie, szkice itd., itd.; mógłbyś powiedzieć o tym coś więcej?

Waldek: W formie są one z pewnością bardzo lakoniczne, takie było zamierzenie, to raz. A dwa, to, że

przede wszystkim dominowała tu treść, nie- forma.

Pio: Co spowodowało, że te notatniki powstały? Jakie rzeczy, jakie teksty są dla Ciebie istotne, powodujące, że zaczynasz to notować.

Waldek: Głównie metafizyka, w sensie formy – dualizm między sztuką nowożytną a szeroko pojmowaną sztuką współczesną.

Pio: Ja ich nie widziałem, ale jestem ciekawy, jak to wygląda.

Waldek: To istnieje w formie ducha, treści, idei...

Pio: A nieprawda!

Waldek: No dobra, ale w sposób formalny istnieją głównie w tej drugiej płaszczyźnie. Są bardzo silne, a zarazem eteryczne. Robię je po omacku. To jest coś w rodzaju odurzenia, aczkolwiek nie jest to odurzenie fizyczne. To jest bardzo silny kanibalizm w sensie pożerania sztuki nowożytnej i całej jej tradycji. Ja mam tego świadomość, ale cóż... tak myślę i nie jestem w stanie tego zmienić. Jest to raczej inspiracja sztuką XX wieku.

Pio: Jak to się ma do tego, co mogliśmy zobaczyć na wystawie, do cyklu „Głowy” – bo wiem, że jest już on zamknięty? Jakie były powody malowania tego cyklu i czym od niego odróżniają się szkicowniki?

Waldek: Tego rodzaju szkicowniki prowadziłem od kilku lat i to w bardzo różnych postaciach. Teraz stworzyłem cykl *stricte* obrazowy, kiedyś istniał zarówno cykl szkicowy, jak i obrazowy, był przeplatany; wystawiałem zarówno szkice i obrazy. Zamknąłem się w formie obrazów i to było celowe działanie; notatniki, mimo że istnieją realnie, nie mają się nijak do tego, co jest tutaj. To było celowe zamknięcie formy i – że tak powiem, katowanie się, aby całą formę i treść zamknąć w jakimś tam konkretnym. Niekiedy starałem się to jakoś

przeobrazić. Szkice są dużo bardziej osobiste i jak dla mnie – poza kryteriami – mogą być i błazeńskie, i durne, i bardzo poważne. Zawsze pojawia się kwestia, że – może zabrzmiało to bardzo pompatycznie, ale tak jest – tacy właśnie jesteśmy, taki jestem ja, tak to wygląda jako całość. [cisza]

Pio: Uhm, no to kończymy...

Zu: Ja mam wrażenie, że to się dopiero rozkręca. W takim razie wróćmy jeszcze do muzyki.

Waldek: Do muzyki, tak?

Zu: Tak, do muzyki.

Waldek: To jest takie dosyć... przede wszystkim nigdy nie byłem muzykiem, nie chciałem być muzykiem, to znaczy może chciałem, ale nie poczuwałem się do roli muzyka. Co prawda, miałem doświadczenie, śpiewając 12 lat w chórze. Uważałem, że w kierunku muzyki nie powinienem iść, zresztą uważam, że muzyka jest formą wyższą.

Zu: Wyższą niż malarstwo?

Waldek: Wyższą niż malarstwo, zdecydowanie.

Zu: Nie grasz dlatego, że do muzyki nie dorastasz?

Waldek: Dokładnie. Streszczając. Muzykę, owszem, traktuję jako jakąś taką dogmę, natomiast to, co jest później, jest dalej, Muzyka, obraz i dopiero potem treść.

***Waldemar Libera (Waldek): urodzony 1983 w Tarnowie, bo w Bochni była akurat epidemia. Ukończył liceum plastyczne w Nowym Wiśniczu, odbywa studia prawdopodobnie na 5 roku historii sztuki, manager „Las Vegas”.**

Łukasz Libera (Luca): 1981 w Tarnowie, w Bochni straszyl, przyszły architekt krajobrazu. Chciałby pozdrowić małżonkę, ukochaną swoją.

W skład „LAS WEGAS” wchodzi: Navrii, Luca, Jacek i Waldek

ZAPISKI NA BARZE

Przez „Piękności w opatach”

Paweł Ścibisz

„Trudna do zniesienia. Kapryśna. Nieprzewidywalna. Bardzo nerwowa, skłonna do depresji. Skłócona ze wszystkimi. Poza tym nie kocha go. „Tak charakteryzuje żonę prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy’ego Cécilię biografa francuskich przywódców, Catherine Nay. Bo choć tematem numeru miało być zadanie pod tytułem „urwij głowę kacze” (dwugłowej, o ile mnie pamięć nie myli), to trudno nie dostrzec, że w ostatnich dniach na plan pierwszy różnego rodzaju scen wyszły kobiety, także towarzyszyki życia znanych polityków. Niestety, odgrywają role co najmniej dwuznaczne. Kapryśna Cecylia potrafiła przysięgnąć przyszłemu prezydentowi wykręcić numer i wyjechać z kochankiem do USA. Bawiła się tam najpewniej nieźle, bo przez okrągły rok. W tym czasie słomiany wdowiec poważnie cierpiał, stał wyrazy miłości i oczekiwał. Kiedy okazało się, że prezydentura jest w zasięgu ręki, Niewierna Cecylia powróciła na łono rodziny, aby wkrótce zostać Panią Prezydentową. Nieprzewidywalną „Szyją”, której przypadła w udziale solidna „Głowa” do obracania. Zatem „Szyja” kręci się po gabinecie w nieustannym słowotoku, grymasi na wszystko, gardzi kolacją z jakimś tam Bushami, odlatuje ze szczytów z powodu nieodpowiedniego klimatu... Słowem: idylla. Wróćmy na nasze, krakowsko-warszawskie podwórko. Niejaka Nelly Rokita postanowiła zrobić psikusa swojemu bardziej znanemu mężowi - Jankowi. W imię małżeńskiej i ludzkiej lojalności wobec własnych przekonania postanowiła przejść do obozu politycznego wroga męża, celem doradzania w sprawach kobiet (o zgrozo...). W dodatku na sam szczyt tegoż obozu –

czyli do Pałacu. Cóż miał uczynić biedny, niedoszły premier z Krakowa? Pozostało pokazać, rzadko spotykaną w kraju nad Wisłą, klasę i wycofać się poza szarżę najostrzejszych politycznych starć. Wielu spekuluje, że może to zagrywka taktyczna i tworzy najrozsądniejszą konstrukcję – ale prawda wydaje się bardziej prozaiczna. Głupim kaprysem czasami trzeba ulegać, złożyć uszy po sobie, „przygryźć” język (czasem puszczany samopas) w imię... no właśnie, czego? Spokoju w czterech ścianach i na meblu nocnym? Przywiązania, dzięki któremu potrafimy nie tylko wybaczać, ale i cierpliwie znosić nieprzewidywalności? Jak to jest, że ludzie, którzy mają wizję ważnych reform w europejskich krajach średniej wielkości dają się wodzić za nos własnym towarzyszkom życia. Sarkozy szwendał się po mieszkaniu „w szlafroku, wychudzony i apatyczny”, kiedy jego Cecylia balowała w Stanach. Teraz co prawda rozpięta go energia – ale czyż nie jest tak, że kobiety oddają nam energię, której najpierw swoimi zachowaniami pozbawiają? Nelly wyautowała swojego Rokite przed kluczową rozgrywką. Wielka szkoda, bo diabelsko czasem potrafił rywalu ograć i przyjemnie dla oka i ucha. Wspomniani panowie trafili na te z kobiet, które same nie wiedzą czego chcą, a kiedy już się dowiedzą, to wcale nie jest to to, czego oczekiwali ich (często już dotychczasowi...) mężczyźni. Na „Piękności w opatach”, jak ta z filmu Jana Hrebajka (premiera w Polsce 19.10.2007r.), której mało było jurnego mechanika samochodowego i poleciała na kasę i klasę podstarzałego playboya. Co oczywiście, nie przeszkadzało jej

czasem odwiedzać „warsztatu”. Także życie uczy, że niektóre kobiety, chcąc „zjeść ciastko i mieć ciastko” potrafią być po wirtuozerku wyrachowane. Chcą mieć u boku inteligentnego, czasem ekscentrycznego, wysportowanego, może nawet artystę, niemniej czulego i opiekuńczego, ale przy tym szczodrego sponsora, (poprawianie humoru drogą zakupów musi kosztować, a przecież o nastrój dam dbać należy), choć nie ograniczającego w żaden sposób ich aspiracji zawodowych, najlepiej jeszcze, żeby nie pił i nie palił i co istotne umiał porządnie „wbicić gwóźdź” (choć niekoniecznie do politycznej trumny Leppera). Na taki zestaw natrafić raczej trudno, zatem panie kombinują. A skutki są często takie, że panowie, po zaznaniu tychże mistrzowskich kombinacji szukają „lekarstwa” w barach. A przecież, o ilez lepiej aplikować sobie wiśniówkę czy żywiecką szczepionkę przeciw nudzie, tudzież smaczny „kompot”, w nastroju rodem z Hrabala raczej niż z Houellebecq’a. Zwłaszcza, że codziennie pojawiają się nowe dowody wskazujące na istnienie kobiet, które tak po prostu potrafią wytrzymać z tymi co „zapominają, że mają duszę i ciało”, kiedy siadają do swoich „pianin”. Poza tym już niedługo będzie możliwość kaczce głowy urwania na następne 4 lata. Jak się uda, to jakąś Crazy Nelly się zmiksuje, tudzież *spécialité de la maison* Odlotową Cécilię i za zdrowie nasze i kraju bez Ziobry pomyślność się napijemy.



Kto wrobił Kubusia Puchatka?

Jacek Dubois

Złośliwy mutant wirusa grypy na dwa tygodnie przykuł mnie do łóżka. Życie zyskało nagle niespotykaną systematyczność. Codziennie rano do mojej sypialni wpadają dwuletni Staś z przyjacielem, żółtym psem Lexem. Po kilkunastu skokach na mnie pies uwalnia się od emocji i układa w nogach łóżka. Wtedy do akcji przystępuje syn. Z okrzykiem: „Leczyć tatę!” próbuje mi, jako inhalator, wepchnąć do ust dezodorant mamy. Gdy uda mi się zmylić jego uwagę i ukryć dezodorant, z ponownym okrzykiem: „Leczyć tatę, tata pić!” próbuje poczęstować mnie swoją herbatą w butelce ze smoczkiem. Są to działania szalbiercze. Złożywszy bowiem dowody opiekuńczości, stwierdza: „Siaś oglądać Misia Kubusia”. Zabawą rycerzami albo samochodzikami próbuję odciągnąć jego uwagę od wideo. Bez szans. Staś przyciąga swój fotelik, po czym siada przed telewizorem w otoczeniu ulubionych maskotek: tygrysa, misia i prosiaczka. Wszelkie próby dywersji nie dają rezultatu. Z determinacją oświadcza: „Siaś oglądać Misia Kubusia!”. Wobec fiaska negocjacji przyciskam guzik „play”.

Przez najbliższe pół godziny Staś zamiera jak posąg, nie wydobywa z siebie słowa i z przejęciem wpatruje się w telewizor, żądny wiedzy, dlaczego słasice i tonie konieczne chcą pozbawić Puchatka miodu. Po dwóch tygodniach obaj znamy ścieżkę dźwiękową na pamięć, więc nie mogę się skupić na akcji. Myślami jestem na sali sądowej, gdzie tak dawno nie byłem i za którą zaczynam tęsknić. Jak jednak połączyć obraz Misia nad szóstym gamuszkami miodu z mrocznym wnętrzem sali rozpraw? Przecież Kubuś Puchatek to najpocziwszy ze wszystkich misiów. Najlepszy przyjaciel mojego syna, uosobienie naiwności i niewinności. Mimo to na kolejne sekwencje filmu nakłada się myśl, że przy odrobinie wyobraźni, gdyby okoliczności tego wymagały, można by Misia Kubusia uznać za groźnego przestępcę. Nie wierzyście? To posłuchajcie.

Pewnego razu Kubuś z Prosiaczkiem przechadzali się po Lesie. Byli bardzo szczęśliwi, bo świeciło słońce, świat był dobry, a wokoło panowało prawo i sprawiedliwość. Gdy tak szli, Miś zmęczony troszeczkę i pomyślał, jak dobrze byłoby teraz zjeść małe conieco. Tak myśląc, przechodził właśnie koło kapuścianego zagajnika. „Wiesz, Prosiaczku – powiedział Kubuś – jak to byłoby miło, gdybym tak miał gamuszek, na którym napisane jest Mjuti!” A że tego dnia wszystko układało się dobrze, po drugiej stronie zagajnika dostrzegli znajomo wyglądający gamuszek. Pobiegł po niego Prosiaczek, który bardzo lubił Misia. I wtedy dzień już nie był tak miły, bo okazało się, że to gamuszek misia z innego Lasu. Prosiaczka zatrzymano i natychmiast zabrano na przesłuchanie. Prosiaczek, który był bardzo małym zwierzątkiem i bardzo się przestraszył, zaczął opowiadać całą historię o Misiu, Prosiaczku, Króliku, Kłapouchym i o tym, jak poznali Kangurzyca z Tygrysiem. „To musi być zorganizowana grupa przestępcza!” – krzyknęło przesłuchujące go ptaszysko z wielkim dziobem. Nazajutrz zatrzymano Kubusia. W leśnych wiadomościach napisano, że Kubuś, działając w zorganizowanej grupie przestępczej, porwał i pozbawił wolności Maleństwo, jak również próbował pozbawić wolności Słonia i Hohonia.

Misiowi zarzucano także, że ukrywał się w Lesie pod fałszywym nazwiskiem Pana Woreczko, zakłócał porządek, śpiewając mrućki i usiłował ukraść pszczołom miód. Dokonał też zamachu na mienie, przenosząc chatkę Kłapouchego. Po zatrzymaniu Kubusia wszyscy zapomnieli, że Miś jest najlepszym misiem pod słońcem i że na jego cześć Krzyś wyprawił przyjęcie. Teraz Miś siedzi w areszcie, czekając na sprawę, patrzy przez okienko na łączkę i już nie chce, aby w jego Lesie było tyle prawa i sprawiedliwości, tylko jak najwięcej rozsądku. Puchatek jest przecież tylko misiem o bardzo małym rozumku, więc nic już nie rozumie.

Prawdą jest, że gdy się kogoś chce wrobić, można nawet Kubusia Puchatka. Piszę o tym, bo od kilku tygodni obserwuję, jak kilku przedstawicieli organów ścigania próbuje wykazać, że adwokat, którego szanuję, zboczył ze ścieżki prawa. Poziom i jakości zarzutów zbliżony jest do tych, które przed chwilą postawiłem Puchatkowi. Jeżeli argumenty są żalose, sprawa powinna być oczywista. Jednak skoro da się wrobić Kubusia Puchatka, to można każdego. Kubuś więc czeka teraz na proces, zamiast gamuszkami miodu przy łóżeczku ma Biblię. Na pewno często powtarza fragment: „Bieda tym, którzy przemieniają prawo w piołun, a sprawiedliwość rzucają na ziemię”.

Znany warszawski adwokat jest potomkiem dynastii, na którą składa się ojciec – Maciej, sławny obrońca, oraz dziadek – Stanisław, działacz PPS i równie słynny mówca sejmowy. Wybór felietonów Jacka Dubois, ogłaszanych w ciągu ostatnich pięciu lat na łamach „Gentlemana”, „Home & Market”, „Zwierciadła” i „Gazety Finansowej”, godzien jest znakomitych antenatów. Owe pół setki tekstów ukazują autora jako pełnego temperamentu polemistę, szermującego na przemian, a często naraz, niezłomną logiką i zadziornym poczuciem humoru. Ze swojej obrończej ławy okazuje się sarkastycznym obserwatorem życia politycznego i wnikliwym komentatorem obyczajów, przy czym, nie bez kozery, upomina się stale o wysokie standardy zawodów prawniczych i miejsce kultury prawnej w praktyce demokracji. W pełni wykorzystuje przy tym znajomość dwu naraz epok – minionej, którą świetnie pamięta, i nowej, której zarówno prawo, jak charaktery prawników, muszą jakoś sprostać. Niech jednak nikt nie myśli, że zetknie się w tej książce z wyciskaniem niestrawnej esencji paragrafów! Dar ironii, namiętność przywoływania anegdot i niebywałych przypadków „z życia”, jakie zdarza się słyszeć tylko u krtek sądowych, a wreszcie autentyczna pasja dochodzenia sprawiedliwości, czynią z tej książki pasjonującą lekturę. Bardzo dobrze się stało, że mecenasowi Dubois przestała wystarczać publiczność sal sądowych.



Jacek Dubois *Kto wrobił Kubusia Puchatka?* Spotkanie z autorem oraz promocja książki odbędzie się w klubie LOKATOR w ramach „Dni książki” 25.10.2007, (czwartek), godz. 19.00

Jacek Dubois

Z nieboszczykiem w tapczanie

Któregoś dnia, spragniony towarzystwa, odwiedziłem przyjaciół na dyżurze w szpitalu. Lekarze, jak to lekarze, rozmawiali o medycynie. Jeden z nich wspominał czas, gdy pracował w szpitalu praskim. Folklor owego miejsca był niepowtarzalny.

Pewnego razu do gabinetu zabiegowego policjanci wprowadzili gołego faceta, owiniętego w celofan. Osobnik tak strasznie śmierdzał, że doktor uznał, iż najpilniejszym na tym etapie zabiegów medycznych musi być kąpiel. Po zaaplikowaniu tejsze przystąpiono do wywiadu lekarskiego. Wymyty pacjent jął referować przygody z ostatnich dni.

Około tygodnia wcześniej – ścisłej daty nie pamiętał – trafił na imprezę towarzyską, odbywającą się przy ulicy Brzeskiej. Panowie zaczęli biesiadować w pięciu i w dwa wieczory udało im się pokonać kilkanaście butelek wódki. Jednak wszystko, co piękne, kiedy się kończy. Podobnie było i tym razem. Nad ranem skończył się alkohol. Nikt jednak nie chciał przerywać tak dobrze zaczętej imprezy. Podjęto zatem decyzję o rzuceniu na następne flaszki. To stało się powodem konfliktu, gdyż dwóch z biesiadników odmówiło wyasygnowania niezbędnych środków. Tak społeczna postawa spotkała się z ostrą reakcją pozostałych uczestników przyjęcia, którzy postanowili za karę ulokować kolegów wewnątrz znajdującej się w pokoju wersalki.

Zakupiono niezbędny litraz i bankiet w pomniejszonym składzie toczył się przez następnych dni kilka. Stopień rozbawienia uczestników z każdą godziną wzrastał. Dla zabawy zaczęli skakać po wersalce, w której tkwili ich dawni kompani. Po prawdzie, uczestnicy przyjęcia nie byli pozbawieni cech humanitarnych. Z uwagi na to, że na dworze panował upał, polewali co pewien czas tapczan wodą, by zapewnić kolegom niezbędny chłód i umożliwić ugaszenie pragnienia. Niestety, mimo tych przejawów troski, po paru dniach jeden z więźniów tapczanu nie wytrzymał nadmiaru wrażeń i podczas gdy koledzy dokonywali popisów akrobatycznych, traktując wersalkę jak batutę, na skutek doznanych urazów, zgasł. W tej sytuacji jego współtowarzysz niedoli przebywać zaczął w meblu z nieboszczykiem. Upał na dworze wzrastał i w trakcie kolejnych dni imprezy denat jął się rozkładać. Nie przeszkadzało to specjalnie biesiadnikom, którym zmysł powonienia przytępił wypity alkohol, lecz zaniepokojeni fetorem sąsiedzi wezwali policję. Interwenujący patrol odkrył zawartość mebla. Policjanci, stwierdziwszy, że na żyjącym mieszkańcu wersalki ubranie z lekka przegniło, rozdali go do rosolu, po czym przebrali w jedyne w lokalu okrycie wierzchnie – przypadkowo celofanową folię – i w tym stanie dostarczyli do szpitala.

Badający pacjenta przyjaciel znalazł jego stan ogólny jako dobry. Jedyne widoczne obrażenia były odcisnięte na klatce piersiowej sprężyny wersalki. Chory zaczął w sposób nieco namolny domagać się zaaplikowania jako niezbędnego lekarstwa przynajmniej szklanki żołądkówki, tłumacząc, że natychmiast musi nadrobić zaległości z ostatnich dni. Niestety, szpital nie posiadał tego medykamentu w ofercie*.

Drugi z chirurgów również swego czasu praktykował w szpitalu praskim. Na jego ostry dyżur przywieziono chorą po zatruciu alkoholowym. Niestety, mimo upływu czasu pacjentka nie chciała trzeźwieć. Zwołane konsylium stwierdziło objawy neurologiczne, kwalifikujące do zabiegu trepanacji czaszki. Operacja przeszła pomyślnie. Chora odzyskała świadomość i po rehabilitacji wypisana została do domu.

Po miesiącu do szpitala zgłosili się trzej jej bracia, mieszkańcy ulicy Kawęczyńskiej, szukając lekarza cudotwórcy, który uratował ich siostrę. W trakcie rozmowy komplementem dla medycznych zdolności doktora nie było końca. Za wzorową pracę bracia postanowili mu wręczyć prezent w postaci butelki wódki czystej. Niestety, dar miał jeden feler: Niosąc go do szpitala, ofiarodaw-



cy nie mogli powstrzymać pragnienia i po drodze skonsultowali trzy czwarte zawartości. Wzruszenie doktora było szczere, bo zdawał sobie sprawę, że to, co pozostało, panowie wręcz odjęli sobie od ust. Dziękując za niespotykaną szczodrość spytał, jak obecnie miewa się pacjentka.

- Świetnie! – poinformował go jeden z gości. – Całkowicie wróciła do zdrowia. Może już nawet polewać. Zapowiadało się, że będzie to wieczór anegdota. Niestety do pokoju lekarskiego wpadła pielęgniarka, informując, że właśnie dowieziono świeży transport chorych. Lekarze zaczęli rozchodzić się do sal zabiegowych. Wkrótce zostałem sam. Nie minęło pięć minut, gdy drzwi się otwały i stanęła w nich pielęgniarka.

- Koniec laby, panie doktorze! – poinformowała mnie, wręczając biały fartuch. – Przywieziono ранego. Trzeba iść szyć. Sala operacyjna gotowa.

Z trudem udało mi się wyjaśnić, że jestem tylko gościem i nie posiadam stosownych kwalifikacji.

Po godzinie koledzy zaczęli wracać. Jeden z nich poskarżył się, że już nie może wytrzymać z prześladowającym go pacjentem.

- Wyobraźcie sobie – opowiadał – po raz pierwszy przyjechał na ostry dyżur jakiś miesiąc temu z wazonem wepchniętym w odbyt. Gdy spytałem, co się stało, wytłumaczył, że napadli go źli ludzie, którzy nadszawiając go na ten przedmiot, zbiegli. Co miałem robić – kontynuował lekarz. – Choć siedział głęboko, wydobyłem wazon.

Nie minęły dwa tygodnie, gdy przyjechał ponownie. Tym razem z butelką po winie w odbycie. Na pytanie, co się stało, ponownie opowiedział, jak napadli go źli ludzie, czyniąc mu tak straszliwą krzywdę. Tym razem stałem się już podejrzliwy i zacząłem go wypytywać, dlaczego ci niecni napastnicy w ogóle go nie biją, tylko wtykają w tyłek tak nieporęczne przedmioty, po czym znikają? Nie potrafił mi tego logicznie wyjaśnić.

Dziś znowu przyjechał. Tym razem w odbyt miał wepchniętą butelkę po szampanie. Chyba głupio mu się zrobiło, że trafił znowu na ten sam zespół lekarzy, bo nie próbował nawet tłumaczyć, jak doszło do tak nieszczęśliwego wypadku. Ciężko szło wyjąć, bo butelka miała płaskie dno i nie było za co chwycić, ale jakoś dałem radę! – zakończył dumnie chirurg.

Temat znajdowania w pacjentach różnych przedmiotów okazał się wdzięczny. Drugi z lekarzy przypomniał sobie, jak w trakcie dyżuru trafiła do niego dwójka młodych ludzi. Kobieta miała uwięziony w sobie wibrator. Urządzenie weszło wysoko. Warcząc i wibrując, utrudniało zabieg. Szybko zwołano konsylium celem ustalenia planu działań. Jeden z lekarzy zaproponował:

- Poczekajmy, aż się bateria wyczerpie. Łatwiej będzie wyjmować.

Kolejnemu z kolegów przywieziono na dyżur pacjenta z uwięzioną przepukliną pachwinową. Chorego przesświetlono i stwierdzono, że w jego jelicie przebywa sztuczna szczeka, którą najwyraźniej musiał połknąć. Lekarze zaczęli debatować nad najsukuczniejszą kuracją. I wtedy słuchającej pielęgniarki wyrwało się:

- Ojej! Z taką szczeką to niebezpiecznie! On się może we własne jaja ugryźć! Inny z doktorów miał pacjenta wprost nafaszerowanego gotówką. Było to dziecko, które połknęło pięćdziesiąt monetę. Zapowiadała się skomplikowana operacja. Przeprowadzenie jej utrudniali rodzice, próbując wtargnąć na salę zabiegową w obawie, by ich zasoby płatnicze, aktualnie w dziecku, przypadkiem nie zaginęły. Los potomka był im raczej obojętny. Co chwilę dopytywali się, czy kapitał udało się już odzyskać. Wkurzony lekarz wyciągnął z portfela pięć złotych i wręczył ojcu, informując, że pieniądze odzyskano. Uspokojeni rodzice udali się szczęśliwi do domu. Po ich wyjściu operacja dziecka przebiegła pomyślnie. Słuchając tego wszystkiego, nagle doznałem oślnienia, dlaczego polscy lekarze są tak marnie wynagradzani. Przecież praca w naszej służbie zdrowia to jak pobyt w wesołym miasteczku. Na całym świecie za korzystanie z takich uciech słono się płaci. Dlaczego u nas ma być inaczej? To cud, że lekarze w ogóle otrzymują pensje. Przecież minister zdrowia mógłby żądać od nich opłat za wstęp do szpitala jak za wejście do kabaretu.

* Żeby w szpitalu spirytusu nie było, akurat! Trzeba tylko przywyknąć, że biały, bo z butelek z katgutem (red.).

Pierwszy czyn intelektualny A. J. w Paryżu

W roku 1891 niespełna osiemnastoletni Jarry przybył do Paryża i, ledwie się rozejrzawszy, napisał bardzo dziwny kawałek. Dziwny i ważny, bo brzmi w nim nieśmiertelne, jeśli chodzi o wpływ, dzieło angielskiego aktora i adaptatora dramaturgii francuskiej, Samuela Foote'a (1720-1777). Utwór ów powstał gdzieś w połowie XVIII wieku w reakcji na przechwałki innego aktora, Charlesa Macklina, który twierdził, że zdoła po jednorazowej lekturze powtórzyć z pamięci wszelki tekst. Wtedy Foote podyktował mu prozę, brzmiącą jak przepisany sen, a znaną jako *The Great Panjandrum Himself*. Oto ona w całości:

„Więc poszła do ogrodu na plasek jabłkowy naciąć liści kapusty, aż tu łeb wsadza do sklepu idąca ulicą wielka niedźwiedzica: »Jak to! Nie ma mydła?«. Zaczem umarł, ona zaś nader pochopnie wyszła za Balwierza; a były przy tym Dziobule, Robule i Gapule, i we własnej osobie Wielkie Panjandrum z czerwonym guziczkiem na czubku; i wszyscy jęli grać w »tapiu capu«, aż proch strzelniczy przyskał im spod obcasów.”

Efekt tej manifestacji anglo-absurdu był piorunujący. Dość rzec, że ukazał się – i do dziś ukazuje – szereg bogato ilustrowanych wydań książkowych Panjandrum, z których największą sławę zyskała edycja z roku 1878, ozdobiona przez Randolpha Caldecutta (1846-1886) wizerunkami postaci w kostiumach z czasów Regencji. Co robi parodzanioowy kawałek Foote'a z umysłami cudzoziemców, dowodzi twórczość Gałczyńskiego, który musiał go poznać na studiach. Nie gorszym przykładem w Rosji jest dorobek Daniila Charmsa. Słowem, kładziemy tu palec na punkcie, skąd bierze się początek.

Trudno rzec, czy angroman Jarry w poszukiwaniu własnej drogi sam wpadł na trop tej tradycji, czy też Foote'a wskazał mu Marcel Schwob. Ważne, że w owej chwili jako pierwszy przeniósł absurd do literatury francuskiej, gdzie takowy przyjął się w najlepsze i już został, czego niestety rzec nie można o naszej. Stąd stulecie okultacji, jak mówią patafizycy, Alfreda Jarry'ego (8 września 1873 – 1 listopada 1907) trudno uczcić lepiej, niż jego transfuzją.

Memoriał dotyczący horrendalnych zająć z 30 lutego 1891

Alfred Jarry

Zbadawszy gruntownie raporty jurystów, purystów i turystów z wyłączeniem wykazujących niejaką skłonność do dekadencji, grandilokwencji i demencji, można – sądzimy – w pełni naświetlić zajęcia z 30 lutego 1891, ich przyczyny i skutki, tudzież postarać się wyjaśnić je najlepiej, jak to możliwe.

Wszyscy mieszkańcy Paryża pomną owe upiorne wypadki: wściekle upały, Sekwanę niosącą wielkie jak dynie bryły lodu oraz omdlałe wśród fal ryby, przeraźliwie skrzeczące z suszy na trzeciej platformie wieży Eiffla.

Tłumaczy to, czemu Cycero w foyer Théâtre Français zawodził tak smętnie, dmąc w swą okarynę, niezadowolony rozewrzeć ust za sprawą okrutnego bólu uszu, który, jak wiemy, zatrul mu najpiękniejsze lata młodości.

Tak czy owak paryżanie, chroniąc się to w podziemiach co bliższych latarń gazowych, to w antresoli Obelisku, nie wiedzieli, co myśleć. Bez ryzyka błędu utrzymujemy wszelako, że ich uciechę zmąciła, zdaniem Stuarta Milla i owych papierzysk, w jakie owija się rzeczy kruche, pewna domieszka smutku.

Stąd nie powinno dziwić, że odkąd sprawca, o którym mowa, rzucił się z wyżyn wież Notre Dame do Jeziora Genewskiego, większość nieszczęśników, skaczących (by go powstrzymać) do tegoż Jeziora Bodeńskiego, połamała na bruku kości. Upadek był tak potworny, że pęto liońskiej kielbasy, zapomniane w kieszeni płaszczka, który sprawca rzucił był w przestrzeń, strzaskało sobie prawe ramię tuż nad kolkiem, a jak wypada sądzić, stłukło też oba boki. Jednakże podawać zamierzamy tylko niezbite fakty.

Na grzmot tego koszmarnego upadku stróż, uśpiony od najwcześniejszego dzieciństwa, ocknął się i dobywszy ze słownika Larousse'a rewolwer, który zapisał mu syn, dawny generał Henryka Ptasznika, zmierzyl był do nieszczęsnego odyńca, co skrywał się daremnie w bujnym gąszczu stupa telegraficznego, i wypalił mu w łeb.

Krzyki bóleści, wydawane przez pechowego telegrafistę, przywiodły na miejsce siły porządku, w sam czas, by sprawca mógł je aresztować. Z czego wniosek, że był nim Cycero. Oto fakty, przytoczone bezstronnie za czopkiem, co piastuje od lat dziesięću zaszczytne stanowisko lampy gazowej. Tym samym dziś kwestia wyjaśniona jest do imentu.

Bliższe szczegóły tej skandalicznej afery przyniesie skądinąd drugi memoriał, aliści w oczach każdego z ludzi lebskich (nie uchybię, jak mniemam, najszczerzej prawdzie, przyznając im ten tytuł) gęsty parowozowy dym niedowiarstwa rozwieje powyższa wykładnia faktów, tyleż dosadna, zasadna i składna, ile budząca podziw wszelkich koneserów. A jakże.

Przełożył Jan Gondowicz

Alfred Jarry Nads



Krótką informacją wstępną:

Ożywiony ambicją pobicia starożytnego seks-rekordu (70 razy pod rząd) André Marceuil zamówił do swego zamku siedem pańienek w roli swoistej... bieżni. Nim jednak w stroju „Indiana” przystąpił do dzieła, zastąpiła je inna osoba. Kim była? Jak się to skończyło? Dowiedzie się w swoim czasie. Akcja toczy się w roku 1920, wymyślonym w roku 1901.

Maître d'hôtel rozwarł odrzwia sali jadalnej.

Indian wciąż się nie zjawiał.

Weszło, pod rękę panów, siedem dziewcząt.

Była wśród nich smukła, z miedzianą czupryną, cztery brunetki o jasnej lub śniadej kamacji, wreszcie dwie blondynki – jedna drobna, rozczesana na popielatego anioła, druga przy kości, usiana dołeczkami, z cerą jak emalia.

Nosiły dyskretne imiona – być może nie własne, lecz na które odpowiadały bez błędu: Adela, Blanka, Eupura, Herminia, Irena, Modesta i Wirginia – obok nazwisk zbyt frymuśnych, by uznać, że warto je spamiętać.

Trzy przybyły w sukniach pod szyję, o wiele za szczelnych, aby móc coś podejrzeć, aliści trzymających się na jednej raptem haftce – pod spodem zaś nie miały nic zgoła; cztery, wedle najnowszej mody, nosiły szoferkie pelisy, a zrzuciwszy je w westybule, okazały się nie tyle ubrane, ile przybrane koronką; przejrzysta osłona, którą Herminia zwała – tonem zdolnym ożywić kamień – swą narzutką.

Wtem korytarzem przemknęły prędkie, równie zamasyte, jak lekkie kroki.

- To Marceuil – stwierdził Bathybius. – Czegoś zapomniał lub zrezygnował z wyjazdu.

- Wrócił na czas – zauważył generał. – Bo nacieramy samotnie.

Drzwi otwarty się i wkroczył „Indian”.

Jego wtargnięcie, choć oczekiwane, przyniosło chwilę osłupienia. Mężczyzna, który wszedł, był rasowym atletą, niezbyt roslym, lecz o nieporównanych proporcjach. Bez zarostu lub jak najściślej wygolony i depilowany, miał krótki, rozdwojony podbródek. Kruczo-czarne, twarde i przyzlane włosy tworzyły z tyłu plerzę. Pierś miał nagą, ozdobioną znamieniem pod lewym sutkiem, a skórę, barwy czerwonej miedzi, w odcieniu matowym i jakby napudrowaną. Przez ramię i w pasie przerzuconą miał kompletną skórę niedźwiedzia grizzly, którego olbrzymi łeb zwiisał u kolan. Zapięty z surowca zatknął kalumet i tomahawk. Nogi spowite były i obute w sztylpy-mokasyny z miękkiej, żółtej skóry, przybrane kolcami jeżozwierza. Gdy uniósł ramię, pod pachą dało się dostrzec wypolerowany pumeksem błękitny tatuaż – totemiczną lamę.

- Cudne bydlę! – zakrzyknęły spontanicznie kobiety.

Nie miały, ma się rozumieć, na myśli prymitywnie nakreślonej lamy, ale mężczyźnę.

Dla dziewcząt bywa się zawsze cudnym bydlęciem, gdy pokaże się skrawek nagiej skóry.

Indian bez słowa, nie patrząc, zasiadł do stołu i jak przystało na dziecię natury, jadł za czterech.

Tuż przed północą pańienki, których swoisty wstyd ożywiły widać męskie – choćby nie wiedzieć jak subtelne – aluzje, ze zbliżaniem się pory wykazania talentów coraz dla nich dotkliwsze, do tego urażone „mohikańską” flegmatyką Indiana, wymknęły się i umknęły na los szczęścia w zakamarki zamku. Weszły na piętro i trafiły niechcący do przestronnej galerii – galerii obrazów, ciągnącej się w połowie wysokości hallu, gdzie bić miano „rekord”, a która łączyła się niegdyś z ową obszerną salą, sceną dworskich widowisk. Przywozowała na myśl ogromną lożę ponad parterem w teatrze – tyle, że widok z niej zamurowano.

Wszedłszy tam, odniosły wrażenie, że są niemal u siebie, gdyż były same.

Jak papużki, co odfrunęły daleko od klatki, wszczęły paplaninę szkliscie dźwięczną i rozkosznie fałszywą, a dającą wyobrażenie o tonach ich miłosnego instrumentarium. Poniżej, niby akompaniament, preludowały smyczki.

Co jasne samo przez się, rajcowały o wszystkim prócz tego, o czym myślały wszystkie: prócz Indiana.

- Prawda, kochaneczki – rzekła Blanka – że nikt nigdy nie wpadł na nic ponętniejszego niż wzięty z mody sprzed lat dwudziestu gorsecik do czterech podwiązek – dwóch z przodu i dwóch po bokach?

- Te z przodu zajmują tylko miejsce i... czas – zauważyła Irena.

- Mnie tam wszystko jedno – odparła Blanka – mam prawo mówić, że to urocze, bo... i tak ich nie noszę. - I żeby pokazać czarne pończoszki w różowe prążki, uniosła suknię – dużo wyżej, niż było trzeba.

- Nosisz pończoszki? – zaciekawiała się Modesta. - Ten... dzikus, co też on może nosić? Może wodery szambonura, zapinane na te kolce?

- Zobacz się – odrzekła Blanka. – Ja tam nic nie myślę, bo nie ma co koloryzować: gość jest ciężko przystojny.

- Na mój gust ciut kolorystyczny – oznajmiła Wirginia.

- Powinien się dać wybielić.

- Dla niej to jak rozwiesić pranie! – sarknęła Herminia.

- Będiesz, kochaniutka, miała okazję sprawić, żeby pobladł.

- Kolorowi nie bieleją – zastrzegła Eupura.

- No pewno, że nie zaraz! Ale może po tobie – zawołała Wirginia – o ile się coś zostanie! Bo zdaje się, tak mi mówił generał, że mamy „wybielać” według alfabetu.

- O ile co się zostanie? – spytała Adela. - Spierze się niby?

- Ja jestem druga – stwierdziła Blanka – ale to chyba już będzie czysta synekura.

- Ale ubaw! Nic z tego nie wyjdzie – podsumowała Irena.

- Gratulacje dla pierwszej wybranki! – zawołała cała szóstka, składając niski ukłon Adeli.

Z podestu schodów dobiegł szelest.

- Sza, ktoś idzie! – szepnęła Adela.

- Jak nic on – powiedziała Wirginia. – Nie byłoby źle się poznać, toż cały czas wcinał, ani się nie uśmiechnął, ani zębów nie pokazał.

- Zęby ma niczego, mógłby normalnie gryźć szkło – wtrąciła Herminia.

- Szkło powiększające, jeśli wierzyć temu, co mówią – uzupełniła Irena.

- Sza! – powtórzyła Adela.

Ten sam krok, lekki i bystry, jaki zapowiedział przybycie

100. rocznica śmierci Alfreda

DZIEŃ PIERWSZY:

28.10.2007 (niedziela), g. 19.00

- „ABECADŁO Topora” - spotkanie Trzecie poświęcone literkom „U” jak *Ubu Król*, „J” jak Jarry, „I” jak ilustracje”. Gościem Lokatora będzie Agnieszka Taborska. Prowadzenie Piotr Kaliński

- Klub Filmowy Lokator prezentuje:

film dokumentalny:

„Ubu Król w stulecie premiery” (1997)

scenariusz: Agnieszka Taborska, reżyseria: Marcin Gizycki, Zdjęcia: Jacek Zagadło, Krzysztof Stawowczyk

DZIEŃ TRZECI:

30. 10. 2007 (wtorek), g. 16.00

- PATAFIZYCZNY KONDUKT ROWEROWY
Na trasie LOKATOR - Rynek Główny - LOKATOR.

- 16.15: „Mrówki w Czekoladzie” na Rynku Głównym.

- 19.00: Wernisaż wystawy ilustracji do książki „UBU Król” studentów Pracowni książki ASP w Krakowie.

- 20.00: Pokaz filmu „UBU Król”, reż. Jana Lenicy z prelekcją Mariusza Frukacza.

DZIEŃ PIĄTY:

1.11.2007 (czwartek), g. 19.00

- 5. Wykład PATAFIZYCZNY Jana Gondowicza.

- Prezentacja fragmentów „Nadsamca” Alfreda Jarry.

- Odświeżenie pomnika „Wielkiej Wykałaczkii”

- Wernisaż wystawy fotografii ze „Światowego Muzeum Wykałaczek w Laval” we Francji.

- Stypa PATAFIZYCZNA w klubie LOKATOR.





Nadsamiec i panny

Indiana, tym razem jeszcze bystrzejszy i lżejszy, rozległ się znowu. Coś, jakby nagość czy jedwabie, mignęło w drzwiach.

- Ta jego niedźwiedzia skóra szeleści jak suknia – zauważyła Blanka.

- Oni tam, u siebie, noszą się jak kobiety...

Szczęknął zamek. Dziewczęta zamilkły.

Drzwi się nie otwierały. Kroki zbiegły w dół. Zaklaskał truchcik pięt, zgasł krótki, dziwnie srebrzysty śmieszek.

- Co on wyprawia? – rzuciła jedna z pańienek. – Nie-wychowany ten dzikus.

- Nieśmiały jest... Ej, wstydlawy Józefie, zapomniałeś niedźwiedziej skóry!

- Za grosz ogląda – oceniła Wirginia, która wzmówiła sobie edukację.

- Dlatego nosi ten teb, jak jaki czarny kacyk – powiedziała inna – albo każe mu nosić jego treser.

- Okropność! – zawołały inne. – Ale co prawda, to prawda, że mu w nim do twarzy.

- Może przyszedł dać nam znak? Zaraz północ. Schodzimy, dziewczyny?

- Schodzimy! – zaczęły jednym głosem, wkładając rozrzucone po meblach kapelusze.

- Pomóż mi, Wirginio – powiedziała Adela. – Coś ciężkie te drzwi...

Próbowały jedna po drugiej, potem naparły wszystkie razem...

Choć to zakrawało na nonsens, były zamknięte!

- To kretyn! – syknęła Wirginia. – Dzikus, ani be, ani me po francusku, pewno w życiu nie widział zamka: pokręcił rączką na odwrót. Myślał, że nam otwiera.

- Trzeba zawołać – poradziła Modesta.

Zabrzmiały jeszcze nie wystraszone głosy:

- Ej! Panie dzięki! Przystojniaku! Irokezie! Kochasiu!

Wybiła północ. Zegar musiał się bez wątpienia znajdować tuż nad galerią, bo dudnieniem wypełniał, jak długa, komnatę: żyrandol chwiał się, drżały ramy obrazów, witraż pod stropem dygotał.

- Powinni przyjść nas poszukać – rzekła Adela. – Po-czekajmy.

- Tobie się spieszy, bo zaczynasz, my mamy czas – odpowiedziała Blanka.

W oczekiwaniu, przerywanym lekkimi atakami paniki, słuchały, jak wybija kwadrans, pół godziny, trzy na

pierwszą i pierwsza.

- Kpiny jakieś tam sobie robią na dole? – wybuchła Modesta. – Przecież chyba muszą nas słyszeć. My tu świetnie słyszymy muzykę, no nie?

Istotnie, w nieregularnych odstępach czasu dolatywały najwyższe tony kwint niczym dzwony drążące mgłę. Zaczęły krzyczeć na nowo, aż spurpurowiały i załyły się łzami.

- Trzeba jakoś spędzić czas – odezwała się Adela, która chciała wyglądać na spokojną i spacerowała przed obrazami. – Drogie panie, jesteśmy właśnie w Luwrze: ten tu wazniak w siwej peruce i z wielką szablą, wyobraża...

- Obraża?... – spytała Irena.

- Już nie mogę! – i Adela utonęła we łzach.

Portrety co do jednego paliły je wzrokiem srogich ojców, czekających złowrogo na skruchę córek. Nie zdradzały żadnej niecierplivej chęci wyjścia. W ich wieku nie spieszyły się już nigdzie.

Dziewczęta rzuciły się bębnić w drzwi, masywne i okute żelazem.

Jak obudzone wstrząsami ich piąstek, zagrzmiwały kuranty na drugą.

- Gównol! – oznajmiła Wirginia. – Idę spać!

Wyciągnęła się na złoconej konsoli ze stopami wystającymi za skraj, rękoma za głowę i żądnym czynu biustem. Blanka przyglądała się jej z dala, siedząc na skrzyni z dłońmi zajętymi skrycie pod spódniczką, machając nogami.

- Dziewczyny... – zaczęła z wahaniem – coś mi się zdaje, że obeszlili się bez nas. Widać jemu trzeba było jakichś innych... I one jak nic już zaczęły!

- Zamknij dziób, mała! – rzuciła wielka Irena, prostolinijna i wściekła. Sama nie wiedząc, co począc, by zmusić ją do milczenia, zamknęła jej usta własnymi.

Modesta, wśród łkań okrążywszy galerię, wtuliła strapioną twarz w pierś Wirginii. Gdy się podniosła, na jej staniku widniał wilgotny, półprzejrzysty krąg, dający dojrzeć różowy pączek – krąg, co nie był śladem łez.

- Za ciepło się robi – podsunęła Irena, a jej koronki uleciały. – Od teraz nie otwierać facetom, zostają w koszuli.

- Już nie masz czego zdjąć – zauważyła Eupura.

I jej dłoń zakradła się na szyję Ireny.

Tym to sposobem łkania ustąpiły z wolna westchnieniom, a wargi szarpać jęły już nie pełne łez chusteczki, lecz całkiem inne realia. Zaciekle trzepotania tłumit dywan, bo stopy były gołe.

Nie było jak wyjść, więc Wirginia bezwstydnie zaskoczyła szmerem źródła wzorzystą wełnę w kącie.

Zaraz potem, tuż przed trzecią, światło elektryczne zgasło. Było tak, jakby starcy bezgłośnie zstąpili z portretów... przy czym błądzące po omacku dłonie nie mogły nijak odszukać drzwi! Wobec takiego szyderstwa zderzały się w poszukiwaniu wyjścia ich usta i sromy. Później zablękitniał świt, rosząc dreszczami spotniałe ciała. Następnie słońce z wyżyn witraża pod stropem omiotło zbrukany dywan.

W południe rozbrzmiały znów kuranty, których głos zapowiedział uwięzienie.

Dziewczęta miały się, głodne i spragnione.

Jedna zjadła pomadkę do warg, inna wraz ze łzami, śliną i pudrem ryżowym wchłonęła stary, brudny i wstrętny, wonny niegdyś pierniczek.

Minęła pierwsza, minęły i wszystkie następne, minęła jedenasta wieczór i odległa muzyka nakłuwiała ciszę tak chwiejnie, jak rozstrojone palce, co chybiają uszko igły. Elektryczność nie zapaliła się już...

A jednak przez mleczne szkło w kącie, z nader wysoka, sączyło się światło, nie będące światłem dnia.

Dziewczęta zapały z radości, nie szczędząc frenetycznych ukąszeń padły sobie w objęcia, spiętrzyły stoły, wdarty się na nie, raz i drugi sturlały w dół, lecz wreszcie zbrojna w pierścionki, acz skrwawiona piąstka przebiła w gwiazdę kwadrat szkła.

Gole, utytane, rozczochrane, rozmazane, zgłodniałe i rozparzone dziewczyny cisnęły się przed okienkiem, otwartym na światło i... miłość.

Gdyż tylko żelazna krata, nieprzebyta, lecz nie tamująca wzroku, dzieliła galerię i hall Indiana.

Choć minęła kolejna północ, zdało im się całkiem oczywiste – toż o nim myślały w każdej z jakże długich godzin! – że go tam znajdą.

Czerwonoskóry mężczyzna nie miał innego okrycia prócz nagiej kobiety, omdlałej w poprzek jego piersi – jej zaś nie osłaniało nic prócz maski z czarnego pluszu.

Z powieści Nadsamiec Przełożył Jan Gondowicz

freda Jarry, w klubie LOKATOR



ORGANIZATORZY:
Klub LOKATOR, Fundacja TURBINA

Patronat Honorowy Instytutu Francuskiego
oraz Konsulatu Generalnego Francji w Krakowie

Współpraca:
Światowe Muzeum Wykałaczek w Laval, Francja

Zrealizowane przy udziale środków finansowych:
Wydziału Kultury Miasta Krakowa

Patroni:
Magazyn Mrówkojad, Telewizja Kraków, Kinoskop.pl

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!



U progu `Patafizyki

Roger Shattuck, tłumaczenie Andrzej Sosnowski

`Patafizyka istniała od niepamiętnych czasów, od chwili, kiedy człowiek po raz pierwszy podrapał się w głowę, aby uśmierzyć świąd myśli, odkąd Sokrates przekonał Menona, że jego młody niewolnik od zawsze znał twierdzenie Pitagorasa, od dnia, w którym Panurg pokonał Anglika w dysputacji na migi, odkąd Lewis Carroll ustanowił równowagę królów i główek kapusty. A przecież dopiero u kresu dziewiętnastego stulecia, kiedy nauka, sztuka i religia bardzo były bliskie zbiorowej kolizji w ciemności, `Patafizyka zrzuciła przebrania i odkryła swoje intencje. Naczymi wybranym stał się Alfred Jarry, któremu przyznano się do ojcostwa *Ubu króla*, zgrzytliwej uczniackiej farsy wystawionej w Paryżu w 1896 roku, przyniosło skandaliczny rozgłos. Jarry przejął od Ojca Ubu „dziedzinę `Patafizyki” i przypisał ją późniejszej osobistości, doktorowi Faustrollowi; w ogóle rozwinął i praktycznie zastosował naszą naukę nauk w rozlicznych powieściach, wierszach oraz tekstach spekulatywnych, a także w księdze, która ujrzała światło dnia dopiero po jego śmierci (*Dzieje i myśli doktora Faustrolla, patafizyka*, 1911). Sprawa Jarry’ego i `Patafizyki była przedmiotem licznych kontrowersji w obrębie literatury francuskiej za czasów symbolizmu, dadaizmu, surrealizmu, a nawet egzystencjalizmu: nader niejednoznaczne pochwały wyrażali Apollinaire, André Breton, André Gide, Antonin Artaud i Raymond Queneau. Przejściowe trudności z zachowaniem własnej istoty miała `Patafizyka aż do lat powojennych, kiedy to założono Collège de `Pataphysique: wraz z rozwojem Collegium przyszły statuty, drobiazgowy hierarchia, komisje i podkomisje, kłótnie i pojednania, kwartalnik, oficyna wydawnicza, ekspozytury na całym świecie i sporadyczne występy publiczne. We wszystkich zewnętrznych i wewnętrznych przejawach swojej działalności Collegium od samego początku uprawiało patafizyczne podejście do życia, tak że dzisiaj możemy już z całą prostotą za Ojcem Ubu powiedzieć: „`Patafizyka to jest właśnie wynaleziona przez nas dziedzina nauki, której krzyżującą potrzebę odczuwa się powszechnie”.

`Patafizyka jest nauką o tym, co znajduje się poza obszarem metafizyki; innymi słowy: dziedzina `Patafizyki znajduje się równie daleko od metafizyki, jak metafizyka od fizyki – w dowolnie obranym kierunku.

Otóż słowo „metafizyka” można nadać dowolne znaczenie, i stąd jej niegasnąca popularność. Dla Arystotelesa oznaczało ono dziedzinę spekulacji, którą zajmują się po fizyce. Patafizyk postrzega cały wszechświat stworzony, tudzież wszystkie inne, zauważając, że nie są one ani dobre, ani złe, lecz patafizyczne. René Daumal już w dwudziestym wieku oświadczył, że chciałby dać metafizyce to, co Jules Verne zrobił dla fizyki. A zatem `Patafizyka wkraczając w owo wielkie „poza” – i mniejsza w którym kierunku – proponuje nam odkrywczą podróż z przygodami do – według terminologii Jarry’ego – „wietrzności” (*éthermité*). A to jest właśnie obszar, w którym wszyscy żyjemy.

Patafizyka jest nauką o tym, co pojedyncze, o prawach, które rządzą wyjątkami.

Nie znajdziemy się w obszarze poza metafizyką dzięki coraz ogólniejszym ogólnikom; oto błąd myśli współczesnej. Powrót do szczegółu wykaże, że każde zdarzenie stwarza prawo, swoje partycularne prawo. `Patafizyka nie łączy każdej rzeczy i zdarzenia z jakimś uogólnieniem (pospolitym zatuszowaniem wyjątków), lecz z pojedynczością, która przesądza o wyjątkowości. Tym razem `Patafizyka nie proponuje remediów, nie snuje wizji postępu, wątpi we wszelkie doniesienia o „udoskonaleniach” stanu rzeczy, nie ma na sumieniu jakiegokolwiek przestania. `Patafizyka to nauka czysta: pozbawiona praw, a zatem taka, której nie da się wyjąć spod prawa.

`Patafizyka jest nauką, której rozstrzygnięcia są rozstrzygnięciami wyobraźni.

W obszarze tego, co pojedyncze, każde zdarzenie ma nieskończoną liczbę przyczyn. Dlatego też rozstrzygnięcia poszczególnych przyczyn i skutków są rezultatem arbitralnego wyboru, który jest inną nazwą wyobraźni naukowej. Grawitacja jako zakrzywienie przestrzeni, grawitacja jako przyciąganie elektromagnetyczne – czy ma jakieś znaczenie, które rozwiązanie przyjmujemy za słuszne? Zrozumienie obu wymaga sporej dozy naukowej wyobraźni. Nauka musi się zdecydować na takie rozstrzygnięcie, które odpowiada faktom – albo prędkość światła, albo spadanie jabłka. `Patafizyka wszystkie naukowe teorie wita z entuzjazmem (z czasem są coraz lepsze), a w każdej z nich widzi nie obowiązujące prawo ogólne, ale próbę, czasem heroiczną, czasami żalosną – wdrożenia jakiegoś poszczególnego punktu widzenia jako „prawdziwego”. Być może adepci filozofii pamiętają jeszcze Niemca Hansa Vaihingera i jego filozofię *als ob*. Z iście oślim, nieugiętym uporem twierdził on, że konstruujemy sobie nasz system myślenia i wartości, a następnie żyjemy „jak gdyby” pasowała doń rzeczywistość. Idea „prawdy” jest najbardziej wymyślnym ze wszystkich rozstrzygnięć.

Dla `Patafizyki wszystkie rzeczy są równoważne.

Patafizyk nie tylko nie przyjmuje żadnego ostatecznego wytłumaczenia wszechświata, lecz odrzuca również wszystkie wartości, moralne, estetyczne, podobne. Zasada powszechnej ekwiwalencji i odwrócenia przeciwieństw sprowadzają świat w jego patafizycznej rzeczywistości do samych pojedynczych przypadków. Tym łatwiej zrozumieć, nieprawdaz, że patafizyk chętnie poświęci się „pracy”, i to na najrozmaitsze sposoby, że schlebiał będzie wszystkim normalnym (i „nienormalnym”) zachciankom ciała i ducha, że niekiedy zachowa pełną uwagę troskę w stosunku do bliźniego, a nawet odegra „odpowiedzialną” rolę w społeczeństwie. `Patafizyka nie naucza buntu ani zgody, żadnej nowej moralności czy amoralności, ani politycznej reformy, ani politycznej reakcji, a już na pewno nie jest obietnicą szczęścia bądź nieszczęścia. Po co, skoro wszystko jest równoważne?

`Patafizyka jest, pod względem postawy, niewzruszona.

Większość współczesnych uważała Jarry’ego za żartownisia albo szaleńca: oto pierwsze nieporozumienie. `Patafizyka nie ma nic wspólnego z poczuciem humoru ani też z pewnym potulnym szaleństwem, które psychoanaliza wbiła nam do głów jako modę. Życie na pewno jest absurdalne, a branie go serio – pocieszne. I jedynie komizm jest serio. Dlatego patafizyk jest zupełnie poważny, uważny i niewzruszony. Nie wybucha śmiechem ani nie przeklina, kiedy ma wypełnić kwestionariusz w czterech egzemplarzach na temat swoich politycznych kontaktów czy seksualnych preferencji: wprost przeciwnie, na każdym z egzemplarzy daje skrupulatnie opis innej, równie zasadnej formy działalności. Dzięki kamiennemu spokojowi może cieszyć się anonimowością i w pełni korzystać z patafizycznego bogactwa życia.

Wszystko jest patafizyczne; a przecież tylko nieliczni uprawiają `Patafizykę świadomie.

Nie ma żadnej różnicy jakościowej, jest tylko różnica stanu między zwykłymi ludźmi i tymi, którzy w całej przytomności umysłu zdają sobie sprawę z patafizycznej natury świata, również ich własnej natury. Collegium `Patafizyki nie jest lepsze ani gorsze od Akademii Francuskiej bądź Trzyosobowej Komisji Pomocniczej ds. Eksterminacji Sumaka Jadowitego przy Klubie Ogrodniczym w Hilldale. Jednak będąc świadomym swojej istoty, Collegium może rozkoszować się spektaklem swoich własnych patafizycznych poczynań. A jakaż to nauka, poza `Patafizyką, może w ogóle się mierzyć ze świadomością, z „samo”-świadomością, która bezustannie wyslizguje się z siebie, aby pograżać się w obszarach wietrzności? Monstrualna *gidouille* Papy Ubu, kaldulia, przedstawiona jest w postaci spirali, którą `Patafizyka doktora Faustrolla przekształca w symbol wiecznie krążącej wokół siebie wietrznej świadomości. Symbol? Cóż, obecnie wszystkie słowa są patafizyczne, czytaj: równoważne.

Poza `Patafizyką nie ma nic; `Patafizyka jest ostatnim szajcem.

Niczym terminator u czarnoksiężnika padliśmy ofiarą naszej wiedzy – wiedzy zasadniczo naukowej i technicznej. W `Patafizyce ostatnia obrona przed nami samymi. Nie żeby `Patafizyka miała odmienić historię: przeszłość, ta wspaniała improwizacja, przynależy do Nauki Nauk. Jednak `Patafizyka pozwala ludziom, poza pozorem niewzruszoności, stanąć na wysokości ich pojedynczych jestestw: ludzie to Ubu lub Faustroll, ty albo ja. Zewnętrzny człowiek może skrupulatnie przestrzegać rytuałów i konwencji cywilizowanego życia, jednak od wewnątrz można przyglądać się temu konformizmowi z troską i radością malarza, który dobiera kolory – a może kameleona? Zatem `Patafizyka jest takim wewnętrznym nastawieniem, taką dyscypliną, nauką i sztuką, która pozwala każdemu człowiekowi przeżywać swoje życie jako wyjątek, nie udowadniając żadnego, oprócz osobistego, prawa.

**15 cinamena, 87 E. P.
w dniu Świętego Odkrycia `Patafizyki.
Roger Shattuck, Generalny Prewedytor Propagator w Wyspy i obie Ameryki, Regent (na mocy transatlantyckiej Sukcesmonii) w Katedrze Postkolumbijskiej Mateologii Stosowanej, GMOGG.**



Pan tu nie stał

Książka Jana Gondowicza, choć napisał ją czynny krytyk i tłumacz, nie należy do gatunku sprawozdań z bieżącej produkcji literackiej. Owszem, autor uciera nosa wielu pisarskim sławom, lecz niejako mimochodem. Wybór szkiców – głównie z łamów miesięcznika „Nowe Książki”, „Tygodnika Powszechnego” i kwartalnika „Konteksty” – stanowi raczej wyraz jego poglądów na literaturę. Obraz życia społecznego i świadomości politycznej niech widzą w niej sobie inni – daje do zrozumienia autor. On tropi nade wszystko rzeczy, jakie zjawiają się w książkach jakby bez wiedzy pisarzy: powinowactwa idei, zapożyczenia obrazów, wędrujące motywy, tworzące pospołu osobną tkankę literatury. Gondowicz zafascynowany jest dziwnością tego zjawiska, które nazywa magią. Z tym podejściem do materii literackiej nie mieści się w ramach żadnej z aktualnych grup czy koterii, co wyraża tytuł. Czytelnik znajdzie tu niespodziewane odkrycia, dokonane w dziełach Flauberta, Dostojewskiego, Kafki, zaskakujące spojrzenia na Lema, Gombrowicza, Fredrę, a także całą plejadę literackich ekscentryków. Słowem, deklaruje się jako szalony czytelnik, dla którego snucie domysłów na temat ukrytych w książkach tajemnic stanowi sposób na życie. Ta wizja czytania jako przygody, nieskończonych „wariacji Gutenbergowskich”, ma w głębokiej pogardzie wszystkich proroków „śmierci książki”.

Jan Gondowicz

Jak kończyłem

Wszystkie rzeczy mają czas, a swym zamierzonym biegiem przemijają wszystko pod słońcem; zwłaszcza czas obłapienia przekształca się w czas odchodzenia od obłapienia, jak ostrzega Eklezjastes.

Smutna to sprawa dostrzec, że są rzeczy, których się już w życiu nie zrobi: wspiąć się w ziemie na przykład już chyba mi się nie zdarzy, lub hodować w mieszkaniu królika, co robiłem przez lat 17, ani nawet uwieść niewiniątko. Zbyt fatygujące.

Gorzej, jeśli kwestia dotyczy sfery umysłowej. Na przykład byłem przez czas dłuższy krytykiem filmowym i bardzo lubiłem to zajęcie. Nawet styl miałem inny niż ten, który państwo znacie, bo recenzja filmowa układa się w głowie w drodze z kina do domu, a nazajutrz rano powinna trafić do redakcji.

Zniechęcano mnie do krytyki filmowej wytrwale, a to krojąc teksty, jak wspominałem w numerze 5/2001 „Nowych Książek”, a to odbierając szansę opisanie ciekawszych obrazów. „Po pana ostatniej recenzji dys-trybutor wycofał od nas reklamy na osiemnaście tysięcy” – usłyszałem raz w redakcji. Wreszcie o irytację przyprawiać mnie jęły same filmy. Tak oto nadciągał czas, że po raz pierwszy miano odwalić mi materiał. Pierwszy – i ostatni, bo w razie takiego obrotu spraw postanowiłem z tym skończyć.

Przed pięćmiu laty tak się istotnie stało. I oto właśnie wczoraj na stercie poźółkłych „anuskryp-tów”, jak zwał je Josif Brodski, znalazłem tekst, który przesądził mój los jako krytyka filmowego. Jakoś mi szkoda, żeby nigdy nie dotarł do czytelnika. Nie mówi co prawda bezpośrednio o literaturze, lecz – jak mi się zdaje – zapowiada obecne czasy, te spod znaku „Big Brothera”, Leppera i nowej wojny afgańskiej. Tak więc coś kielkowało, gdy coś innego wędlo, i wszyscy powinni być zadowoleni. A zatem: *Rambo w szambie*.

Z okazji filmu zawsze mawia się o pieniądzach, ale ostatnio – jak się zdaje – już tylko o pieniądzach. Film zrobił się aparaturą do fabrykowania lub (wersja krajo-

wa) marnowania pieniędzy. Obawiam się, że to doszła do głosu reguła, sprawdzona w życiu politycznym. Gdy nie mówi się już o równości szans, państwie prawa, bezpieczeństwie społecznym, upowszechnianiu kultury, ochronie środowiska itp. mrzonkach, lecz tylko o forsie – to znak, że mamy kryzys.

Lekarstwem na kryzys ekonomiczny jest druk banknotów z jednym zerem więcej. Lekarstwem na kryzys w branży filmowej jest kręcenie dalszego ciągu czegoś, co zarobiło na siebie. Banknot z jednym zerem więcej ma być teoretycznie wart więcej od banknotu bez tego zera; w praktyce wart jest mniej. Nim się jednak ludzie w tym zorientują, muszą pójść na zakupy. Dalszy ciąg filmu, który zarobił na sobie rok temu, teoretycznie rozwija pomysł pierwowzoru; w praktyce go zubaża. Nim się jednak ludzie w tym zorientują, muszą pójść do kina.

Na inflacji w sensie ekonomicznym najgorzej wychodzą ci, którzy muszą za wszystko płacić gotówką. Na inflacji w sensie kinematograficznym najgorzej wychodzą ci, którzy mają nawyk szukania w filmach sensu.

Jeśli uczciwą recenzję filmu *Hot Shots!* 2 zastępują te właśnie myśli zaprzeczne, czyli tzw. arierpansy, to dlatego, że recenzent wszystko, co mogło być na ten temat do pomyślenia, pomyślał już przed rokiem z okazji *Hot Shots!* numer jeden. Po wtóre – historia nieudolnego odbijania amerykańskich jeńców z obozu irańskiego dyktatora tym tylko się różni od dziejów zakompleksionego pilota wojskowych odrzutowców, że jest jeszcze głupsza. Po trzecie, oczywista, złośliwy od urodzenia recenzent jest nie w humorze.

Chorobę szalonych klonów można by uznać za przejaw kryzysu scenariuszowego na skalę światową, gdyby tak jawnie nie wyzierała zza niej ekonomiczna metoda. Z pierwszego *Rambo* ktoś sprytny robi drugie *Rambo*, z drugiego – trzecie *Rambo*, a kiedy nie można już dłużej, wsadza się Ramba do szamba, bo pieniądź nie śmierdzi.

Z *Czy leci z nami pilot?* Jima Abrahamsa pamiętam całe sceny. Z *Hot Shots!* pamiętam parę lotniczych gagów. *Hot Shots!* 2 zapomniałem natychmiast po wyjściu z kina lub jeszcze wcześniej. Została tylko ogólna formuła, to znaczy *Rambo w szambie*. Cóż może być śmieszniejszego?

Siłę rasowego żartu stanowi niepowtarzalność. Kiedyś grafik Henryk Tomaszewski wszedł do apteki. – „Czy są gruszki? – Jakie? – Gumowe. – Są. To proszę dwa kilo.” I na tym koniec. Nie mogło być mowy o przeniesieniu akcji do sklepu rzeźniczego, knajpy czy piekarni. Filmy inflacyjne posługują się logiką odwrotną. Dopisywania zera. W pierwszym *Hot Shotsie* pewien generał przepuszcza sobie przez uszy chustkę od nosa. W drugim *Hot Shotsie* już prezydent USA we własnej osobie wkłada do ucha ołówki i wyciąga zatemperowany. W trzecim *Hot Shotsie* ktoś, kto jest nad prezydentem – a więc zapewne Pan Bóg – wydlubie sobie krucyfiksem z ucha zużyty szajspapier.

Wiąże się to z pewną koncepcją publiczności, dla której żadna strawa ma nie być dość nieświeża. Kinematografia inflacyjna chce sobie bowiem urobić własną, bezkrytyczną widownię. Ludzi, dla których umowność kina nie różni się od plansz gry na automatach, którzy są po minucie znudzeni, których osobiście obraża wszelka nowość i których alfabet estetyczny składa się z trzech słów: „jaja”, „momenty” i „mózg na ścianie”. A przede wszystkim, którzy za tanie pieniądze chcą się zabawić niczym bohaterowie Mrożka. (Oczywiście, nikt z państwa, już z racji, że to czyta, nie zalicza się do tego grona). W tym sensie światowe kino rozrywkowe prowadzi od kilku lat eksperyment selekcji jakiejś nowej formacji duchowej, odznaczającej się kompletną obojętnością na wszystko prócz tandety.

Wcale niełatwo o dobry przepis na głupotę. Ale jeden istnieje. Autora najgłupszej powieści przygodowej wszechczasów, Edgara Rice Burroughsa, spytano niegdyś, jaki jest sekret jego powodzenia. Odpowiedział, że aby napisać powieść taką, jak *Tarzan*, trzeba:

1. Mieć wszystko w nosie,
 2. Być pechowcem we wszystkim, co się chciało robić,
 3. Prowadzić nieznośnie nudne i monotonne życie,
 4. Mieć serdecznie dość cywilizacji,
 5. Nie znać gramatyki i mało w życiu czytać,
 6. Być przeciętnikiem o pospolitych skłonnościach,
 7. Nie brać się nigdy za temat, o którym coś się wie.
- Przed osiemdziesięciu laty była to jeszcze postawa elitarna. Nie każdy autor mógł sobie pozwolić na autoportret tak szczyry. Dziś poprzedzające produkcję badania rynku kreślą taki właśnie obraz człowieka bez wymagań. W końcu niemądry, niewykształceni, niedomyśli i niedowcipni też mają prawo do chwili radości. Bez ich dobrego samopoczucia demokracja nie- pewna jest dnia i godziny, a zatem przemysł rozrywkowy stanowi jej fundament. Na kretyńskim „haha” trzyma się świat, w którym niektórzy godzą się umrzeć naprawdę w walce z dyktatorami z Iranu.

grudzień 2001



www.longital.com > read

ČO SI MYSLÍME O TOMTO SVETE A ČO SME TU ŽAZILU

SLÁKOM NA GITARE

V poslednej dobe sa ma ľudia často pýtajú prečo a ako používam slák na gitare. Dnes prišiel ďalší dotaz a rozhodol som sa odpoved zverejniť tu a priebežne doplniť ak ma napadne niečo nové na túto tému.

Ako som sa k tomu dostal
Potreboval som zvuk s jemným nasadením a dlhým dozvukom a nechcel som používať syntezátor. Vedel som že slákom hral na gitare Jimi Page z Led Zeppelin,

Radim Hladík z Blue Effect, Apostolis Antymos z polskich SBB, Mato Tesák z dnes už neexistujúcej kapely Volvic Pič. Napadlo ma to keď som videl Mata, ktorý hral huslovým slákom na kópiu Les Paul - Diamant. Mato dnes žije na Záhorí a hrá ambientnú hudbu ako Maok.

26. 9. 2007 dano@longital.com

Jana „Honza” Cerná

Poetka czeskiego undergroundu

Igor Kędziński*

Jana „Honza” Cerná (Fischlová, Krejcarová, Ladmanová) urodziła się 14 sierpnia 1928 roku w rodzinie publicystki Mileny Jesenskiej (1896 – 1944) i architekta Jaromira Krejcarca (1898 – 1949).

Po aresztowaniu matki w 1939 roku za udział w ruchu oporu Jana przeszła pod opiekę swojego dziadka Jana Jesenskigo (profesora uniwersyteckiego, stomatologa i znanego w Pradze dentysty) i znajomych rodziny. Uczęszczała do gimnazjum i szkoły graficznej. Pod wpływem środowiska intelektualnego, charakteru i artystycznych skłonności matki zaczęła wieść nieskrępowane życie cyganerii. Nie była nigdy zatrudniona, utrzymywała się z pisania i dorywczych zleceń.

Kilkakrotnie zamężna zaczęła z czasem zaniedbywać swoje obowiązki rodzicielskie wobec dzieci (troje z drugiego małżeństwa i jedno z trzeciego), za co trafiła na rok do więzienia dla kobiet w Pardubicach (1963-64). Wspomnienia z więzienia spisała w dzienniku-reportażu pt. *Otisky duše (Ślady po duszy)*.

Jej pełne zakrętów i komplikacji życie kończy się w 1981 roku tragiczną śmiercią w wypadku samochodowym. Jana Cerná, tak jak jej matka, Milena Jesenska, tak jak Franz Kafka, a w końcu tak jak Praga, pozostaje wciąż zagadką. Literaturze zaś tajemnicie służą jak nic innego. Jej legenda wyrosła jednak raczej ze sposobu życia niż skromnego dorobku literackiego. Przez niemal całe swoje życie miała bowiem romans z filozofem i poetą Egonem Bondym, czołową postacią czeskiego undergroundu. Przyjaźniła się z Bohumilem Hrabalem i była częstym gościem na jego Grobli Wieczności, gdzie spotykała między innymi Vladimíra Boudníka. Po Pradze krążyły również plotki, jakoby była córką samego Franza Kafki, jak bowiem wiadomo, jej matka, Milena Jesenská, utrzymywała z nim bardzo zażyłą relację. Głośno było o jej libertyńskim stylu życia i zastępach kochanków. Jak pisze Egon Bondy w swojej wspomnieniowej książce *Pierwszych dzieści lat*: „Honza Krejcarova była jak katastrofa przyrodnicza i obchodziła się ze wszystkim i ze wszystkimi wokół siebie z absolutną bezwzględnością, która była bolesna, a zarazem fascynowała i przyciągała. Nikt nie potrafił oprzeć się jej sile przyciągania – przed Honzą można było tylko krócej lub dłużej się ukrywać, i to dosłownie, ale potem i tak człowiek znowu jej ulegał. Nie mówię tego tylko o sobie, ale o wszystkich, z którymi Honza się zetknęła, – wszyscy, którzy przez to przeszli, mogą to potwierdzić. Z tego właśnie powodu nie jestem w stanie o moich przygodach z Honzą pisać bardziej szczegółowo – wymagałoby to napisania kilku osobnych książek, do których mogłoby dopisać swoje rozdziały dziesiątki i setki innych ludzi. Ilość jej kochanków (i kochanek) przekraczała setkę, i nawet ten, z którym przespała się tylko raz, zostawał przy niej, jakby go kto w łeb zdzielił”. Mówiono też o tym, jak w parę zaledwie dni roztrwonila majątek pozostawiony jej przez dziadka, zamożnego i szanowanego praskiego lekarza. Do historii przeszła podjęta wspólnie z Bondym próba przemycu czechosłowackiego kryształu do Austrii i austriackich pończoch do Czechosłowacji, a to wszystko w latach pięćdziesiątych, kiedy wszędzie wokół kwitnie przodownictwo pracy, młodzi pionierzy socjalizmu jeżdżą masowo na brygady, a po całym kraju przetacza się fala antyburżuazyjnej propagandy...

Jana Cerná to autorka, której życie i pisanie stanowiły nierozdzielny całość. W pisaniu zawarła swój życiorys, a w życiorysie pisanie. A pisanie to stało się trwałą częścią pejzażu literatury czeskiej. Jego antymieszkańskość, bezpośredniość uczuć i sądów, obecna w nim

antycypacja totalnego realizmu, ostentacyjny erotyzm i łamanie tabu, drwienie z egzystencjalizmu, humanizmu, komunizmu i pochwała (w duchu Buñuela) burżuazyjnej perwersji, estetyzacji życia i śmierci, sadyckiej obfitości ciała uczyniły jej skromny dorobek literacki (wyjąwszy produkcje o charakterze czysto zarobkowym) zjawiskiem dla tego pejzażu wyjątkowym.

Cerná napisała swoje pierwsze wiersze zanim Egon Bondy (właściwe imię i nazwisko Zbyňk Fišer) i Ivo Vodsedálek sformułowali program totalnego realizmu, stawiający za cel likwidację surrealistycznej metafory i fantazji oraz zastąpienie ich techniką *ready-mades*, kołażem elementów zastanych w rzeczywistym otoczeniu. Fakt ich zestawienia, skojarzenia ze sobą, prowadzić miał poza poziom codzienności w obszary absurdu i groteski. Przysługuje jej zatem (obok nazwisk Ego-na Bondego i Bohumila Hrabala) pierwszeństwo w tworzeniu fenomenu określanego mianem „czeskiego undergroundu”, bowiem do jego cech wyróżniających należy wszystko to, co znalazło się już w poetyckim debiucie Cernéj zatytułowanym *V zahrádce otce mého (W ogródku ojca mego)*. W liście, którego adresatem był Egon Bondy, znajduje się fragment, który precyzyjnie wyraża istotę poetyki formującego się na przełomie lat 40. i 50. czeskiego undergroundu:

„Jeśli rzeczywiście masz stworzyć dojrzale dzieło (a jestem przekonana, że tak się stanie), to musi to być dzieło, w którym zawrę się całość Twojej osoby, twoje skarpetki, twój wstręt do bibliotek, zarost, piwo, twoja fantazja, intelekt i kutas, po prostu wszystko, bez wyjątku. Nic nie podnieca mnie bardziej, jak nadzieja na dzieło, które powstanie w bezpośrednim związku z wszystkimi tymi rzeczami, nadzieja na dzieło, z którego nic nie zostanie wyeliminowane, nadzieja na dzieło nieocenzurowane, surowe, brutalne, potworne, lecz absolutne. Na dzieło, które nie będzie nieszkodliwe dla zdrowia, po którego spożyciu będzie się rzygać i srać, po którego spożyciu opanuje człowieka uczucie szczęścia i grozy zarazem, na dzieło, które nie będzie mieć granic i nie dopuści, aby mu kiedykolwiek je wytyczono. I o niczym nie jestem przekonana z równą pewnością jak o tym, że takie dzieło stworzysz w całej jego konwulsyjnej słodczy i orgiastycznej brzydocie. [...] Żadne gówno, w jakie się wpakujesz, żadna bzdura i żaden występki, jakiego się dopuścisz, nie jest skazą. Ale jest nią małość, są nią kompleksy i poczucie niższości [...]”.

Wypowiedź ta, wprawdzie w skrócie, ale za to z gwałtowną bezpośredniością, na jaką pozwala forma listu, wyraża większość węzłowych punktów undergroundowego światopoglądu. Charakterystyka osobowości twórczej Jany Cernéj jest pośrednio rozwinieniem tych punktów, choć nie należy zapominać o niepowtarzalnej indywidualności tego dzieła. Zresztą, czeski underground już od pierwszych chwil swego istnienia odznaczał się zadziwiającą mnogością różnorodnych stanowisk i poglądów, które współlistniały ze sobą pokojowo niezależnie od wszystkich rozbieżności. Należy o tym pamiętać, jeśli chce się zrozumieć jego specyfikę. Ów znamienity dla undergroundu brak konsolidacji ideowej nakazuje ostrożność w traktowaniu któregośkolwiek z jego przedstawicieli jako pełnoprawnego exemplum całości – dotyczy to zwłaszcza Krejcarovej, której niepokora i żywiołowy temperament silnie odcinają się na tle pozostałych.

Obojętność polityczna

Cerná nie opowiada się za żadną ideologią, bo sama

jest swoją własną ideologią. Duch negacji jest u niej wszechobecny. Nie bierze tu góry ani rewolucja, ani konstytucja, ani lewica ani prawica, ani humanizm ani egzystencjalizm. Tylko bezbrzeżna wierność sobie, ale sobie jako procesowi, nie zaś danemu, ukształtowanemu ego. Nie znaczy to, że polityka jest w jej tekstach nieobecna, przeciwnie, pojawia się, i to dość często, ale zawsze wzięta w nawias sarkazmu. Postawa programowej apolityczności ma dwojakie pochodzenie i dotyczy nie tylko samej Krejcarovej, ale w dużym stopniu całego undergroundu. Pierwsze źródło jest natury biograficznej. Matka Honzy, Milena Jesenská, przed wojną znana dziennikarka i autorka felietonów, przez długi okres swego życia była zdeklarowaną komunistką, która aktywnie włączała się do walki o rewolucyjną przyszłość, publikując zaangażowane politycznie artykuły na łamach lewicowej *Tvorby* i *Svita práce*. Jej zgłoszenie do partii komunistycznej podpisał sam Klement Gottwald, po wojnie pierwszy prezydent socjalistycznej Czechosłowacji. Politycznym entuzjazmem zaraża się oczywiście córka, Jana, która – jak pisze w swoich wspomnieniach o Milenie – chodziła z matką na pochody pierwszomajowe, z szycją przewiązaną prawdziwą pionierską chustą ze Związku Radzieckiego. Jednakże po powrocie męża Jaromíra Krejcarca (utalentowanego architekta i komunisty) z pobytu w ZSRR, który rozwił jego wiarę w partię, Milena nabiera krytycznego dystansu. Jej wątpliwości pogłębia spotkanie Greta Neumann w obozie w Rawensbrück, żony pierwszego sekretarza niemieckiej partii komunistycznej, który podczas delegacji w Związku Radzieckim rozwścieczył Stalina swoimi poglądami na rewolucję w jednym państwie. Stalin kazał go zamknąć, a na drugi dzień stracić. Jego żonę zatrzymano na granicy i oddano w ręce nazistów. Swoją historię opowiedziała Milenie, która po jej usłyszeniu wyzbyła się resztki sympatii, którą dotąd żywiła jeszcze do komunizmu. Jesenská nie dożyła wojny, ale nowy reżim i tak nie zapomniała swojej bylej aktywistce odszczepieństwa i robi wszystko, by zatrzeć po niej wszelkie ślady. Młoda córka wkacza zatem w dorosłe życie ze świadomością, że społeczeństwo, w którym żyje, przeznaczyło pamięć jej matki do likwidacji, jakby była niewiele wartym odpadem historii. Matka, którą tak bardzo kochała i z którą była tak silnie związana, jest dla komunistów zagrożeniem nawet zza grobu. Doświadczenia te zaszczepiły w Cernéj bezwarunkową odrazę do wszelkich przejawów polityki – lewicowość matki otworzyła jej oczy na nędzę kapitalizmu, zaś stalinowski dogmatyzm na kłamliwość socjalizmu. Podobnie rzecz się miała z Egonem Bondym, którego ojciec, przed wojną szanowany generał, po lutym 1948 roku staje się nagle osobą niewygodną i niepożądaną w społeczeństwie centralnie planowanego raju. W dodatku młody Bondy z początku sam działa czynnie w ruchu rewolucyjnym, uczestniczy w pochodach, kolportuje ulotki, chodzi na zebrania itp. Jest tak blisko centrum wydarzeń, że ma możliwość zajrzeć za ich kulisy – to, co tam dostrzeże, w połączeniu ze świadomością smutnego losu ojca, wyleczy go z politycznych ambicji na resztę życia. Za przewrotem kryła się bowiem złowróżbna mieszanka machinacji, półprawdy, przemocy, karierowiczostwa, głupoty i sowieckiej manipulacji. Tyle o biograficznych źródłach apolityczności czeskiego undergroundu. Drugim, nie mniej istotnym, była filozofia, a ściślej: filozoficzny namysł nad historią, który obnażał jałowość wszelkich prób zrewolucjonizowania społeczeństwa. Przez wszystkie teksty Ego-na Bondy `ego przewija się myśl, że każda awangarda polityczna prędzej czy później zamieni się w ariergardę, ponieważ logika władzy jest nieubłagana i zdeprawuje każdego. Bondy przekonuje, że współcześni intelektualści powinni wreszcie zapomnieć o zbawianiu świata i pomyśleć raczej o sobie, ponieważ, jak uważa, we wszystkich politycznych eschatologiach w historii chodziło tak na prawdę tylko i wyłącznie o samych intelektualistów, a nie o zbawianie kogokolwiek. Powinni zatem przyjąć wreszcie do wiadomości, że celem ich istnienia są po prostu oni sami i jedyne, na co mogą liczyć, to fakt, że ich szeregami będą się powiększać, lecz nie w wyniku prozelitycznego nawoływania, a spontanicznie, poprzez oddziaływanie wartości, jakie tworzą i reprezentują. Mogą zaś



na to liczyć, ponieważ uosabiają to wszystko, co społeczeństwa (kapitalistyczne i komunistyczne na równi) w sobie zabiły: wolność, wrażliwość na piękno i sztukę, wiedzę, świadomość historyczną, szacunek dla prawdy.

Literatura jako karnawał

Większość wypowiedzi Cernej, zarówno w *Clarissie* jak i w *Ogródku ojca mego*, porusza się na granicy teatralnego gestu. Są ironiczną mistyfikacją, podszytą zreżymowanym naturalizmem, tak ochoczo i być może nazbyt pochopnie przypisywanym jej przez interpretatorów. Sprawozdawczy, oziębły ton narracji – wiedzionej niejako *sub species aeternitatis* – zwraca uwagę na fakt, że totalny realizm Bondy'ego i Vodsed'álka, wyrastający właśnie z ducha poezji Krejcarovej, nie był tożsamy z protokolarnym naturalizmem. Ich teksty, podobnie jak utwory Krejcarovej, powstawały raczej w drodze konceptualnego asamblażu klisz kulturowych. Sprytnie zawołowane motywy zaczerpnięte z pism markiza de Sade'a, prowokowanie wątkiem incestu, Rimbaudowska szczerłość i bezkompromisowość (np. w *Ogródku ojca mego* pisze o swojej intymności przeniesionej w ultrapubliczną, gazetowo-telewizyjną przestrzeń) kwestionują przyjętą oczywistość, jakoby nowatorstwo na polu literatury ograniczało się do autentyzmu ekspresji. Werytyczna śmiałość opisu jest tu wprawdzie obecna, lecz towarzyszy jej zawsze powściągliwość, dystans do własnych doznań.

Wierność sobie

Należy zachować tu ostrożność, ponieważ owa tytułowa wierność – zgodnie z przekorną naturą Ęrnej – przejawiała się paradoksalnie jadowitą autoironią, celowym lekceważeniem własnej osoby i naigrywaniem się ze swojej nikczemności. Podobnie jak Duchamp, którego słowa stanowią motto małego zbioru jej tekstów (THE GREAT ARTIST OF THE FUTURE WILL GO UNDERGROUND), konsekwentnie zdradza siebie i swoje dokonania, wybierając wolność i odrzucając poczucie bezpieczeństwa, jakie płynie z faktu posiadania zinstytucjonalizowanej osobowości. Jej działania przypominają raczej akcje dadaistów i happenersów, nastawione na szokowanie i prowokowanie, na igranie z odbiorcą, na obliczanie efektu, na stwarzanie pozorów i cynizm. Tu nie ma żadnego artystycznego ego, które pragnie się wyrazić w sposób możliwie autentyczny, nie ma miejsca na heroizm Wielkiego Twórcy, nie ma cienia romantycznego zadęcia i misjonarstwa sztuki. Wszystko tonie w oparach niewymuszonego dandyzmu, co zresztą odzwierciedla warunki, w jakich żyła na co dzień, w jakich zdecydowała się żyć: programowe bezrobocie w państwie hołubiącym lud pracujący, bieda, dorywcze zatrudnienia, ciągle rozpadające się małżeństwa, bez troski życie wielkomięskiej bohemy, więzienie itd. Wierność sobie jako programowa niewierność sobie wynika ze szczególnego rodzaju ambiwalencji i pozostaje w zgodzie ze specyficzną dynamiką życia psychicznego Ęrnej. Jest czymś w rodzaju trockizmu stosowanego, permanentnej rewolucji realizowanej w życiu codziennym. Cerná pozostaje wobec samej siebie bezlitośnie szczerą, z bezwzględnością graniczącą z masochizmem. Własne ego nie stanowi dla niej centrum, nie ma w sobie nic ze Stimerowskiego egosolizmu, obecnego np. u Ladislava Klímy, klasyka czeskiego ekspresjonizmu. Jej ja jest na wskroś psychoanalityczne i marksowskie, ja świadome własnego uwikłania w świat, własnej złożoności i nieoczywistości. To nie kartezjański podmiot, doskonale dla siebie samego przejrzysty i jakby zaplanowany na wieki. To ja epoki *ready-made*, ja duchampowskie, dla którego wolność jest istotniejsza od tożsamości, nawet od „sobości”.

Religijność

Religijność Ęrnej niewiele ma wspólnego z katechetycznym wzorcem cnotliwości, przypomina raczej zbuntowaną wiarę Jakuba Demla, wyklętego za kontrowersyjne, erotyczne wizje czeskiego księdza i poety. Jej wiara jest bardzo bliska prawosławnej afirmacji życia w jego totalności, z całą jego nędzą i skończonością,

z własną seksualnością i słabością. Bóg nie jest autystycznym absolutem, jest dla Cernej tak samo uhistoryczniony jak człowiek, tak samo zmagać się musi ze złem i nicością, które go poprzedzają. Przypomina w tym bardzo Boga mistyków, (taki rodzaj teologii znajdziemy u Jakuba Böhme w jego koncepcji *Urgrund*) albo Boga filozofów, bo Bóg Ęrnej w swym tragizmie podobny jest do Boga, o jakim pisze Szestow. Jest co prawda istotą doskonałą, ale jest to forma doskonałości nie polegająca na moralnej nieskazitelności, która Ęrnej nazbyt chyba kojarzy się z mieszczańskim zakłamaniami – jej Bóg także błędzi, daleko mu do platońskiego ideału cnoty. Jest jak Bóg archaicznych Greków, popędliwy, namiętny, nieprzewidywalny i jeżeli dobry, to w rozumieniu nietzscheańskim – silny i dostojny:

„A jeśli cokolwiek napawa mnie optymizmem i prawdziwą nadzieją, nie nadzieją na coś, lecz nadzieją jako taką, nadzieją w jej najgłębszym sensie, taką, jakiej potrzebuję do zbawienia, jaką każdy człowiek musi mieć, bo to dopiero w jej imieniu może zostać zbawiony, a więc jeśli cokolwiek napawa mnie optymizmem, to jest to empirycznie zdobyta pewność tej łaski, nie tego, że była nam dana, lecz tego, że w ogóle istnieje. Pewność, że istnieje w tym kosmosie, na tej ziemi, dla tych zadziwiających stworzeń obdarzonych wszystkimi boskimi atrybutami i chronicznie niezdolnymi do ich użycia, dla istot stworzonych na obraz i podobieństwo Boga, by mogły hańbić go i wychwalać, choć żadna z nich, istot ludzkich, nie potrafi Go sobie nawet wyobrazić, mimo, że jest doń tak podobna. To jest właśnie sens tej nadziei, dzięki niej ta nasza niebotyczna ślepotą może być czymś więcej, niż niezasłużoną i niewspółmierną karą za fakt istnienia – dzięki nadziei staje się słodką i błogą pępowiną, którą jesteśmy z Nim związani i po której mamy się do niego wspiąć. Człowiek nie musi mieć wiary i nie może mieć cnot, no bo niby po kim, niech mi nikt nie wmawia, że Bóg jest istotą cnotliwą, może mieć wiele przymiotów, ale w żadnym razie nie jest cnotliwy, doskonałość nie może być przecież cnotliwa! Człowiekowi do zbawienia nie jest potrzebna ani wiara, ani cnota – jestem przekonana, że będziemy jeszcze kiedyś zaskoczeni liczbą tych, którzy zostali potępieni za swoje dobre uczynki. Człowiekowi do zbawienia jest potrzebna nadzieja, prawdziwa nadzieja bez interesowności w jakiegokolwiek postaci, nadzieja, która wcale nie ochroni go od rozpacz, która nie ochroni go przed potwornością utraty wszelkich wartości, nadzieja, która nie chroni przed niczym, nawet przed potępieniem, którą wszakże doniesie pewnego dnia dokądś tam na górze czy na dole jako jedyną prawdziwą wartość, którą w sobie ma. Nadzieja, która zważona zostanie i za lekką uznana nie będzie, ponieważ jej waga jest większa, niż przy swojej ślepotce umiemy sobie wyobrazić”.

Świadomość wielobiegunowa

Rytm w poezji Cernej pochodzącej z końca lat czterdziestych i początku lat pięćdziesiątych opiera się często na schemacie nieoczekiwanych, nagłych zwrotów – zmierza w stronę perwersji, by za chwilę wpaść na przykład w infantylizm. Podmiot porusza się systematycznie między czułością i masochizmem. Raz przedstawia siebie w konwencji sadyckiej erotyki, jest obiektem świadomie poddającym się seksualnym manipulacjom, a za chwilę przemawia rozżalonym głosem małej dziewczynki, która marzy o prawdziwej miłości i zrozumieniu. Ęmá wprowadza typ metaforyki w czeskiej literaturze wcześniej nieznaną, łączącą kiczowatą frazeologię romansów, sentymentalizm i pretensjonalność powieści miłosnych z dosadną mową robotniczej ulicy i słownikiem ówczesnej inteligencji technicznej. Poprzez to połączenie osiąga nową, oryginalną jakość estetyczną, w dużej mierze niezależną od elementów, które się na nią składają. Zderzając ze sobą profaniczne z (pseudo)sakralnym, romantyczne z wulgarnym osiąga efekt bliski frywolnym i cynicznym postępkom dadaistów. Narratorka jest zawsze poza danym rejestrem stylistycznym, jej styl (zwłaszcza w *Clarissie*) się nie podnosi i nie opada, jest w nim pełna znudzenia jednostajność, awersja do zajmowania stanowiska, określenia się, przyjmowania konkretnej formy. Tak jak gombrowiczowskie ja, jest chaosem bro-

niącym się przed stabilizacją, bytem rozkochanym w wolności, który przedkłada własną głupotę nad cudzą mądrość.

Styl Cernej zmienia się jednak zasadniczo kilkanaście lat później, w pochodzącym z lat 1963-1964 dzienniku-reportażu z więzienia zatytułowanym *Ślady po duszy*. Modernistyczna efektywność ustępuje tu miejsca dążeniu do obiektywności, neutralności środków wyrazowych i surowości stylu. Jest to naturalnie spowodowane wymogami gatunku, jakim jest reportaż, ale z drugiej strony odzywa się tu temperament odziedziczony po matce, Milenie Jesenskiej, której przedwojenne reportaże z Sudetów imponują trzeźwością oceny i zdolnością wnikliwej analizy. Analogiczny zwrot w stylu pisania można odnaleźć również w napisanym rok wcześniej *Liście do Egonu Bondego*. Tutaj – podobnie jak w przypadku dziennika-reportażu – zasadniczą rolę odgrywa fakt konwencji gatunkowej, która zobowiązuje do minimalizacji zmyślenia i rezygnacji z fabuły. W liście do kochanka dochodzi jednak do głosu coś więcej niż tylko ograniczenia gatunkowe. Brutalizacja środków wyrazu, nieefektywność, a nawet oschłość opisów, to wszystko zdradza odwołania do „poetyki żenującej” Ivo Vodsed'álka, obok Egonu Bondy i Jany Cernej dalszego członka grupy skupionej wokół Edycji Północ. Sednem „trapné poesie” (poezji żenującej) było wywołanie w czytelniku poczucia mdłości, znudzenia, zgrzytu, zażenowania. Projekt Vodsed'álka był najbardziej skrajną negacją wartości piękna w poezji. Odwracał się od metafory czy zgrabnej frazy w stronę kiczu, banału i śmieszności, przyjmując za naczelną zasadę: Nie schlebiać czytelnikowi! Koniec z przyjemnymi wierszykami, koniec z lekkostrawną poezją.

Na zakończenie wypadałoby oddać głos człowiekowi, który o Janie „Honzie” Cernej (Fischlovej, Krejcarovej, Ladmanovej) i jej życiu wiedział chyba najwięcej:

„Tym, co na każdym wywierało niezapomniane wrażenie, była jej skomplikowana osobowość. Przede wszystkim była niezwykle dowcipna, lubiła się weselić i chętnie się śmiała. Jej humor bywał jednak bardzo ostry, często kosztem rozmówcy. Była niewątpliwie bardzo inteligentna, ale znów nie na tyle, żeby przypominać te brzydkie i nudne emancypantki. Była niewiarygodnie leniwa, ale jej perypetie i fantastycznie nierealne pomysły bezustannie wpędzały ją w tarapaty, które sprawiały, że musiała się porządnie i wszechstronnie natrudzić, aby znaleźć z nich wyjście. Była typową *dégénérée supérieure* i potrzebowała do życia bogactwa, którego nie dałoby się nigdy wyczerpać, ponieważ zawsze bardzo szybko roztrwaniała wszystko, co się roztrwonić dało, nigdy nie myśląc przy tym o bezpieczeństwie czy asekuracji, chyba że dopiero na starość, kiedy jej nie widywałem i żadne słuchy o jej losach już do mnie nie docierały. Nie ulega wątpliwości, że dorobiła się wielu oszczerców czy wręcz zawistników – Effenberger na przykład przywoływał ją jako prototyp zwyrodnienia – nie brakowało ludzi, którzy bali się ją choćby spotkać i robili wszystko, co tylko mogli, żeby nie wejść jej w drogę, tak samo jak nie brakuje ludzi, którzy ją kochali i nadal kochają, szanowali i nadal szanują tak jak ja.”

Kraków 2006

*Igor Kędzierski - (ur. 1978 w Zieonej Górze), bohemista, filolog, fotograf. Doktorant na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Przekłada literaturę czeską XX wieku. Autor esejów poświęconych historii filozofii kultury. Pomysłodawca i współorganizator „Czeskiego Stofu” (2005), oraz „Czeskich rozmów” w klubie LOKATOR. (2006 - 2007)



HOMINES URBANI

zapraszają:



Chwyciłem, że za mało płacą i że się nie oplaca i olałem poezję strasznie...

Ze Zbyszkiem Masternakiem stypendystą Homines Urbani

rozmawia Piotr Marecki

Piotr Marecki: Chciałbym Cię zapytać o początki, kiedy wydałeś własnym sumptem książkę. Opowiedz o tym całym wątku, jak jeździłeś, odbierałeś jakieś nagrody poetyckie, bo wydałeś przecież tomik poezji.

Zbyszek Masternak: Tak, tak... kpina z tego etapu w życiorysie. Może jeszcze taka uwaga, że po prostu to, co piszę, jest autobiografią i to z jednej strony nie jest oryginalne ani super odkrywczym. Z drugiej strony jest to cykl powieściowy „Księstwo” i chciałbym stwo-

rzyć taką współczesną polską epopeję – bohatera od punktu wyjścia, czyli od dzieciństwa po starość, jak Bóg da, nawet dziewięćdziesiąt lat i połączyć z takim etapem magicznym, początkiem cyklu o takim moim domniemanym przodku – pogańskim księciu i z puentą taką, że książkę skończę pisać, jak będę miał mniej więcej dziewięćdziesiąt lat, z książką, która będzie moją przyszłością, takimi kronikami gwiazdowymi. Generalnie to jest taka współczesna polska epopeja, chciałbym być Odyseuszem, dlatego moje przygody są z dzieł Homera. Wracając do pisania, tam jest taki wątek opisany, moja droga do literatury, opisana dość groteskowo, szczególnie wykpiona została poezja, też od strony Gombrowicza... mojego krajana, który trzydzieści kilometrów ode mnie się urodził i jak już dorosłem jeździłem w miejsce jego urodzin co jakiś czas i wiedziałem, co mam bezcześcić. Nie chodziło o poezję, tam pisałem takie różne rzeczy, takie środowiskowe.

P. M.: Bardzo ukrywasz swój debiut prawdziwy, to znaczy debiut poetycki?

Z. M.: Tak, tak.

P. M.:...czyli kompletnie się od niego odcinasz, tak?

Z. M.: Nie. Ostatnio rozmawiałem z kolegą z Białorusi, rozmawialiśmy o poezji, bo kiedyś... to nie było tak, że te początki były aż takie słabe, wygrałem przecież

w sumie sześć konkursów poetyckich ogólnopolskich.

P. M.: To chyba cieszyńskich?

Z. M.: ...tak, ale chwyciłem, że za mało płacą i że się nie oplaca i olałem poezję strasznie. Nie no, to oczywiście żart, ale...

P. M.:...ale coś w tym jest..

Z. M.: Olałem, olałem poezję, to były kwestie typu kaczka pióro, takie rzeczy... jakieś tam inne wymioty czy coś właśnie takiego.

P. M.: Po prostu uznajemy, że debiutu poetyckiego nie było, natomiast debiut prozatorski to też fenomen, jeżeli chodzi o polski rynek wydawniczy, ponieważ własnym sumptem wydałeś książkę, zatytułowaną „Księstwo”, która po pewnym czasie została wydana przez duże wydawnictwo Zysk i S-ka. Wydałeś własnym sumptem książkę, która nie miała dystrybucji, natomiast udało ci się sprzedać prawie trzy tysiące egzemplarzy, tak?

Z. M.: Trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt...

P. M.: Trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt sprzedałeś a później opchnąłeś ją dalej.

Z. M.: Potem opchnąłem ją dalej.



P.M.: Podobno dzięki tej książce poznałeś swoją żonę?

Z. M.: No właśnie zrobiłem to własnym sumptem, mając właściwie problemy finansowe, ale poszedłem do drukarni, zaproponowałem wydanie i zgodzili się wydać tak po prostu, właściwie niemalże bez pieniędzy. Bardzo szybko się to sprzedało. Zwrócił się nakład i w sumie pierwszy był tysiąc egzemplarzy, potem tysiąc i tysiąc. Trzy tysiące poszło dość szybko. Była ogromna afery, o czym piszę w książce, bo obrazilem wójta gminy w Górach Świętokrzyskich. Zrobiłem z niego Jezusa, podchwyciła to prasa lokalna, gazety, wiesz i oczywiście książka trafiła pod strzechę świętokrzyską. Wszyscy chcieli kupić oczywiście ode mnie lub od mojego ojca, który *nota bene* żyje i świetnie się miewa. Matka niestety nie żyje. Ale ojciec w książce nie żyje i po prostu to się dlatego tak bardzo dobrze sprzedawało i to był taki pierwszy etap. Stwierdziłem, że przyjadę tam, skoro nie chcą mnie w bibliotekach ani w księgarniach, więc po prostu może łatwiej dotrzeć do czytelnika z ławki w Kazimierzu i Nałęczowie. Przyjechałem właśnie do Nałęczowa. Efekt był taki, że – po pierwsze – spotkałem właśnie swoją przyszłą żonę, która szła ulicą, zaczęłam ją, dałem jej książkę, dedykację, jako jedynej podarowałem książkę, nie sprzedałem. Dostała... i tak właśnie ze mną siedzi sobie od tamtej pory. To był jeden plus, a drugi był taki, że prezes wydawnictwa Zysk i S-ka był na konferencji w Nałęczowie i kupił sobie ode mnie egzemplarz, ja nie wiedziałem, że to jest wydawca i poprosił o maila. Stwierdziłem po tym wszystkim, że jadę za granicę, pojeżdżić sobie stopem po Europie i uszyłem habit mnicha, taki sam jak człowieka, którego widziałem w Nałęczowie, co stał i się kiwał. I rzeczywiście bardzo się to opłacało, bo po prostu kiwanie się na ulicy w Brukseli bądź Paryżu to jest ok. 300 euro w ciągu pięciu, sześciu godzin. No ale jest ryzyko, że cię pały mogą zgarnąć, bo musisz mieć pozwolenie. I wyobraź sobie, że właśnie sprawdzam maila gdzieś tam, w jakiejś kafejce, po dwu miesiącach i czytam: szanowny panie, proponuję panu wydanie książki w oficjalnym obiegu... no i wróciłem do kraju gdzieś koło września. To się miało ukazać w październiku, w końcu ukazało się w marcu, także tak to wszystko ruszyło.

P.M.: Wszyscy piszą, że dosyć świadomie nawiązujesz do tradycji literatury chłopskiej, wiejskiej. Jak to jest z tymi korzeniami chłopskimi? W naszym pokoleniu jesteś jedynym pisarzem, który się do tego przyznaje. Masz przeczytany cały ten nurt literatury chłopskiej?

Z. M.: Tak, tak, oczywiście jestem bardzo dobrze przygotowany do tego, co robię. To taka proza troszeczkę awanturnicza. Byłem prymusem, miałem w liceum średnią 5. 7, także nie było tak ze mną źle... ale studiów nie skończyłem żadnych, to było męczące. Próbowałem wiele razy, ale nic się nie udało skończyć, czego ślady są gdzieś tam w książkach, ale chodzi po prostu o to, że piszę współczesną polską epopeję. Są to ambitne zamiary i ukazały się już dwie książki o dzieciństwie i wczesnej młodości. Następny etap właśnie

jest opisywany jako czwarta część tego cyklu, trzecia jeszcze nie istnieje.

P.M.: Teraz jest moment, kiedy Zbyszek wymienia wszystkie swoje części..

Z. M.: Część czwarta to opis życia we Wrocławiu, wielkomięskie klimaty, trochę między Krajewskim a „Złym” Tyrmanda, ale zupełnie inne klimaty, zero gwary. Potem jest część piąta napisana wspólnie z moją żoną o podróży po Francji, Europie. Ukazuje ona Polaków za granicą w różnych wersjach i z innej perspektywy, od pracy ambitnej, intelektualnej, gdzieś tam w jakimś polskim domu starców, przez jakiegoś sekretarza, po robota gdzieś tam pod Strasburgiem. I jest jeszcze część ukraińska, która jeszcze nie została napisana, o handlu ikonami we Lwowie, bo taki dziewięciomiesięczny wątek również mam w zyciorysie. Dlatego nie mogę jechać na Ukrainę, bo list gończy jest za mną wystawiony. I w tej części ukazuję Polskę na Wschodzie.

P.M.: Fakty historyczno-literackie są takie: Zbigniew Masternak będzie żył dziewięćdziesiąt lat, tak?

Z. M.: Mniej więcej..

P.M.: Powtarzasz to już tyle razy, że musisz co najmniej tyle przeżyć...

Z. M.: Chciałbym oczywiście przeżyć każdy etap... trzydzieści lat na etap dojrzały, trzydzieści lat starości

P.M.: Czyli w sumie wyjdzie ok. 15 ksiąg. Jakimi metodami chcesz tę obsesję całości, obsesję życia w pełni osiągnąć w literaturze?

Z. M.: Zdaję sobie sprawę, że to nie będzie proste. Jest dla mnie taka bardzo ważna scena w „Zielonych wzgórzach Afryki” Hemingway’a, gdzie padają takie słowa, dla mnie bardzo ważne... co jest ważne, aby stworzyć taką prozę, by ostała się na wiele lat i była czymś więcej, niż tylko zapisem jakimś tam, żeby było to czymś żywym. On tam wymienia mnóstwo czynników, m.in. dyscyplinę, upór, wizję całości... mnóstwo rzeczy. Zdaję sobie sprawę, że to nie będzie proste, ale założyłem sobie takie dzieło skończone. Dla mnie jest to bardzo wygodne o tyle, że gdybym nie zdążył tego zrobić z jakiegoś powodu, to po prostu będzie jak z wizją ruin. Nawet jeśli jedna wieża nie zostanie zbudowana, bądź zostanie strącona, to i tak wiadomo mniej więcej, co tam miało być. I to jest w jakimś sensie przewidywalne. Wydaje mi się, że to jest takie założenie, które mnie pociesza. Jeżeli chodzi o konstrukcję pisania – z jednej strony założyłem cykl, który jest dość precyzyjnie przemyślany, ale z drugiej strony stosuję poetykę fragmentu, bo piszę krótkie filmowe opowiadania... takie właściwie sceny. Szukam takiej pojemnej formy, która ogarnęłaby wszystko i wydaje mi się, że to jest najwłaściwszy sposób opisanego życia. Tak naprawdę jak zapamiętujemy rzeczywistość? Jako ciąg różnych fragmentów, zdarzeń; nie pamiętasz jednej linearnej historii, tylko urywki, zdarzenia, sekwencje. Nie wiem, czy zauważyłeś... tak naprawdę „Księstwo” jest dziennikiem, jest zapisem kolejnych dni, opowiadania

trwają od kilku godzin do dwóch dni. Generalnie, konstrukcja jest bardzo fragmentaryczna. Rozmawiałem o tym z Henrykiem Berezą i on powiedział mi, że to jest dziennik. Nie zwróciłem wcześniej na to uwagi, teraz właśnie widzę, że to w jakiś sposób jest dziennik.

P.M.: Obsesja całości czy obsesja fragmentu?

Z. M.: Nie chodzi o to, że zakładam sztuczna formę, bo ja nie chcę sztucznej formy. Ja chcę po prostu najwierniej opisać życie i szukam najodpowiedniejszej konstrukcji. Wydaje mi się, że to jest najwłaściwsze, widzieć rzeczywistość jako fragment.

P.M.: A jak już jest ten fragment i jeżeli są te cięcia, no to nie ma całości...

Z. M.: No, nie ma całości.

P.M.: Ale założenie jest takie, że ma być cały zyciorys...

Z. M.: Nie wiem czy cały. Chodzi o to, że ma być pewna konstrukcja, ma być coś... hm... cała może być rzeźba... wizja, jakiś opis historii... Nie, to byłoby zbyt nudne... Telenowela wenezuelska: ktoś idzie do kibla, wychodzi, wraca... Tak, to byłaby telenowela.

P.M.: Właśnie, to nie ma być taką telenowelą?

Z. M.: Generalnie cieszę się, że taką formę wybrałem a nie inną, dlatego, że daje mi to wielkie możliwości. Mogę tam wstawić kawałek dziennika, kawałek jakiegos esej. W jednej wersji księgi IV była moja praca semestralna... napisana gdzieś tam na uczelni na polonistce, ale była strasznie nudna i ją wyrzuciłem, zostawiając tylko fragment. To jest bardzo wygodna forma, na razie tego się trzymam, przede wszystkim staram się pisać fragmentem.

[Pytanie z sali]: Jak pisze się książkę razem z żoną?

Z. M.: Zaczęło się dość dziwnie, bo po prostu nie planowaliśmy takiej współpracy. To wyszło tak śmiesznie, że żona jak była w ciąży miała różne takie dziwne sny, które się układały w całe historie, takie niesamowicie absurdałne historie... Stwierdziłem, że coraz bardziej uciekam w tworzenie literatury o literaturze, co może być ciekawe, powiedzmy, na jedną książkę, ale na dłuższą metę to jest bardzo niebezpieczne. Potem zacząłem to wszystko wycinać i dzięki historiom żony, które stworzyły tło dla tego mojego normalnego życia, stało się to takie absurdałne troszeczkę, ale wniosło sporo ciekawych rzeczy. Tych opowiadań weszło chyba dwanaście do dwudziestu siedmiu rozdziałów, także praktycznie jest współautorką książki. Wyszło całkiem przyzwoicie. Ukazuje się to dopiero w przyszłym roku jako piąta księga. Żona robi fotografie do książki. Coraz lepsza jest w tym fotografowaniu, także w ten sposób będziemy współpracować. Ma dużo pomysłów.

Rozmowa jest nieautoryzowanym zapisem spotkania, które odbyło się w maju 2007 roku w klubie Lokator. Spisała Aleksandra Religo, redakcja Stanisław Kot.

Gondolą po Wiśle, czyli kot i niekot

Jacek Błach

Majtki w gotowości, karawela gotowa, bosman Gondowicz ma już stosowną fajkę i czapkę też. Łajba niczego sobie, załoga na stanowiskach. Płyniemy!

*Cała naprzód ku nowej przygodzie!
Taka gratka nie zdarza się codziennie!
Niech piecuchy zostaną na brzegu,
my odpocząć możemy i w biegu!*

Łódka zwie się „Piotruś Pan”. Hm... Trzynastka Piotrusiów Panów, chłopców i dziewczynek, którzy nie chcą dorosnąć. No, może poza dwoma panami kamerzystami i dźwiękowcem, ale dalibóg, biegać z mikrofonem na drągu i z kamerą przy pasie, to, żeby tak rzecz, dorosłość wątpliwa! Wzdłuż tak zwanych bulwarów mieszczą się sobota.

Obowiązkowy spacer w ładną pogodę. Wskazują nas palcami i dziwią się, bo faktycznie dziwnie to wygląda – za łajbą rower, na rowerze spocony kapitan Hook, napędza agregat co zmyślnym mechanizmem połączony z kołami przesuwają nam tło. Ach, tło... Fale morskie, buja nami, że hoho, na horyzoncie Nowa Ziemia, na zawiętrznej kamerzysta robi balast, kapitan w sztormiaku krzyczy coś tam, coś tam, przed oczami ciepłe lądy, dla każdego bezлюдna wyspa... Tymczasem Bosman Gondowicz zaczyna opowiadać o... niczym.

I tak opowiada o tej nicości, opowiada, a tak opowiada, że czasem sobotni mieszczanie jakby zamierają, usta im się otwierają, psy przerażone szczekają, dzieci z wrażeń przykucają, bo... hm, chyba znikamy im z oczu? Chwilowo jesteśmy w niebycie, przeprasza-

my wszystkich. Trójkąt wawelski - tak już ma - pochłania co jakiś czas, na czas potrzebny do nakręcenia Zygmunta. Gdyby zrobić zdjęcie - biała plama jak nic. Tymczasem w środku mamy wino, słońce, morze, buja, sennie, brzuch boli, chyba istnieje. Tak, chyba istnieje. To było dziś, a że dziś już było, więc chyba nie istnieje już? A już w porcie, nad brzegiem beczki z rumem, wśród portowych dziewczek... brzoskwinie z tuńczykiem!, oscypki z japońskiego ryżu z banderolą z glonów!, ciasteczka z krabów!

Gondola, ola, ola!
Hola, hola, a ten kot? Gdzie kot? Czy ktoś widział tego psa?

Czwarte seminarium Patafizyczne odbyło się w Krakowie, 22.09.2007 roku

Lokator [październik 2007]

**DARMOWY INTERNET
DLA WSZYSTKICH KLIENTÓW
KLUBU LOKATOR**



Księgarnia i Czytelnia klubu LOKATOR otwarta od poniedziałku do soboty od 18.00 do 24.00

5.10.2007 (piątek), g. 20.00

GALERIA klubu LOKATOR prezentuje:

PIOTR Kaliński - „Dyńa 30” – tribute to Stanisław Wejman
Wernisaż wystawy grafik z okazji 30 urodzin autora oraz 71 numer art-zinu „Mrówki w Czekoladzie”

9.10.2007 (wtorek), g. 20.00

Klub LOKATOR zaprasza na spotkanie z ukraińską pisarką **Ksenią Charczenko** stypendystką Homines Urbani. Spotkanie poprowadzi Renata Rusnak.

11.10.2007 (czwartek), g. 20.00

Klub LOKATOR zaprasza na spotkanie z **Pauliną Bukowską** oraz na promocję książki „Niezidentyfikowany obiekt halucynogeny”, Wydawnictwo ZNAK 2007.

12.10.2007 (piątek), g. 18.00

Dom Norymberski zaprasza na spotkanie z **Kevinem Vennemannem** oraz na promocję książki „Blisko Jedenew”, Wydawnictwo Czarne 2007.

13.10.2007 (sobota), g. 19.30

LIVE MUSIC at LOKATOR [wstęp wolny]
LAS WEGAS - Piotrowicz, Libera, Nawrocki

17.10.2007 (środa), g. 20.00

Klub LOKATOR zaprasza na spotkanie z **Hubertem Klimko - Dobrzanieckim** oraz promocję książki „Kołysanka dla wisielca”, Wydawnictwo Czarne 2007.

20.10.2007 (sobota), g. 20.00

GAP - IMPREZA ZAMKNIĘTA

25.10.2007 (czwartek), g. 19.00

Dni Książki w LOKATORZE
Jan Gondowicz - „Pan tu nie stał”
Wydawnictwo WANDERER 2007

26.10.2007 (piątek), g. 19.00

Dni Książki w LOKATORZE
Jacek Dubois „Kto wrobił kubusia puchatka”
Wydawnictwo WANDERER 2007

27.10.2007 (sobota), g. 19.00

Dni Książki w LOKATORZE
Marian Pankowski „Ostatni zlot Aniołów”
Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2007

28.10.2007 (niedziela), g. 19.00

Abecadło TOPORA - **Agnieszka Taborska**
- spotkanie TRZECIE sponsorują literki „l” jak Ilustracje, „j” jak Jarry, „u” jak UBU
Pokaz filmu dokumentalnego:
„Ubu Król w stulecie premiery” (1997)

29.10.2007 (poniedziałek), g. 20.00

HALLOWEEN w STARYM KINIE

DRACULA - USA 1931

reżyseria: Tod Browning,

scenariusz: John L. Balderston, Hamilton Deane,

zdjęcia: Karl Freund, muzyka: Richard Wagner,

Obsada: Bela Lugosi, Edward Van Sloan

DZIWIWOLĄGI - USA 1932

reżyseria: Tod Browning, scenariusz: Leon Gordon,

Edgar Allan Woolf, zdjęcia: Merritt B. Gerstad

30.10.2007 (wtorek), g. 19.00

100. rocznica śmierci Alfreda Jarry

Galeria KSIĄŻKI klubu LOKATOR i Pracownia Książki

Akademi Sztuk Pięknych w Krakowie zapraszają na

otwarcie wystawy ilustracji do książki KRÓL UBU

Klub Filmowy Lokator zaprasza:

„UBU KRÓL”, reż.: Jan Lenica

1.11.2007 (czwartek), g. 16.00

100. rocznica śmierci Alfreda Jarry

5. Wykład PATAFIZYCZNY Jana Gondowicza.

Prezentacja fragmentów „Nadsamca” Alfreda Jarry

Odsłonięcie pomnika „Wielkiej Wykałaczkii”

Wernisaż wystawy fotografii ze „Światowego

Muzeum Wykałaczek w Laval” we Francji

Stypa PATAFIZYCZNA w klubie LOKATOR

ANKIETA

LOKATORZY OBSTAWIALI, KTO OTRZYMA „NIKE 2007”.

We wrześniu na stronie internetowej klubu

LOKATOR można było obstawiać, która z książek

otrzyma w tym roku Literacką nagrodę „NIKE”. Spo-

śród 7 tytułów wygrała książka „Gotland” Mariusza

Szczygła - 37% głosów. (Wywiad z Autorem publiko-

waliśmy w 3 numerze magazynu „Mrówkojad”).

„Niesmowita słowiańszczyzna” Marii Janion - 29%,

„Muzyka środka”, Marcina Świetlickiego - 24%.

Łącznie oddano 60 głosów.

W październiku Lokatorzy idą na wybory!!!

Zobaczmy kto wygra.

Idź na wybory: www.lokator.pointblue.com.pl > ankiet

CODZIENNA INFORMACJA

O SPOTKANIACH W KLUBIE LOKATOR

WWW.LOKATOR.POINTBLUE.COM.PL

!!! ZAPISZ SIĘ !!!

KFLokator

HAL HARTLEY jest jednym z najważniejszych twórców amerykańskiego kina niezależnego. Od razu należy zaznaczyć, że w USA termin „kino niezależne” oznacza coś diametralnie innego niż w Polsce. Podczas gdy u nas są to bardzo często niskobudżetowe, amatorskie filmy, produkowane metodą chałupniczą, w USA nazywa się tak profesjonalne produkcje, z zawodowymi aktorami i specjalistami od każdego aspektu filmowego dzieła. Budżety takiego „independent cinema” to często kilka milionów dolarów. Niezależność w wydaniu „Made in USA” oznacza coś w rodzaju europejskiego „kina autorskiego”. Czyli taki film, o kształcie którego decyduje jedynie jego autor (czyli reżyser).

Hartley debiutował w 1989 roku filmem „Niezwyczajna prawda”. Rok później, gdy jego drugi film „Zaufanie” wygrał festiwal w Sundance, Hartley stał się gwiazdą kina niezależnego, a każdej jego nowej produkcji wyprzedzono z niecierpliwością. Kolejne dzieła (m. in. „Zwykli faceci”, „Amator” czy „Henry Fool”) potwierdziły jego talent.

Na swoich mistrzów wybrał dwóch reżyserów francuskich – Roberta Bressona i Jean-Luca Godarda. Z tym pierwszym łączy go podobny sposób prowadzenia aktorów, z drugim zgoda na umowność kina i ciągłe podkreślanie sztuczności filmowego świata. Jego filmy pozornie wpasowują się w schematy amerykańskiego kina gatunków, ale to tylko pozory.

W Polsce ten twórca był do niedawna prawie zupełnie nieznany. Dopiero pełna retrospektywa jego prac na 7. ENH we Wrocławiu przybliżyła go polskiej publiczności. W klubie filmowym Lokatora przedstawimy sześć jego najsztywniejszych filmów. (Adam Uryniak)

15.10.2007 (poniedziałek), g. 20.00

ZAUFIANIE - TRUST - USA 1990

16.10.2007 (wtorek), g. 20.00

ZWYKLI FACECI - SIMPLE MEN - USA 1992

18.10.2007 (czwartek), g. 20.00

AMATOR - AMATEUR - USA 1994

22.10.2007 (poniedziałek), g. 20.00

FLIRT - USA 1995

23.10.007 (wtorek), g. 20.00

HENRY FOOL - USA 1997

24.10.2007 (środa), g. 20.00

FAY GRIM - USA 2006

szczegółowe informacje:

www.lokator.pointblue.com.pl > program

ipix W tym miesiącu Mrówkojada* dokarmia firma www.ipix.com **ipix**
Serdecznie dziękujemy.

www.lokator.pointblue.com.pl

CODZIENNA INFORMACJA O SPOTKANIACH W KLUBIE LOKATOR

patronat:

ZADOKAR.pl

kinoskop.pl

jazzradio